

- RELACJE: Z LASU, Z OPOŁA, ZE ŚWIDNIKA, Z WILNA, Z ZAMOŚCIA
- SOŁŻENICYN: „NIE ŻYĆ FAŁSZEM!” ● ZWROT PAŹDZIERNIKOWY 1944
- ARMIA CZERWONA NA LUBELSZCZYŹNIE ● O MARSZAŁKU ŚMIGŁYM

TYGODNIK
WSCHODNI

PL ISSN 0660-8830

relacje

LUBLIN, 12 - 18 X 1989 R.

NR 39

CENA 150 ZŁ

**MIĘDZY OSTRĄ BRAMĄ
A OSTRYM FELIKSEM**

str. 6



Widok na Ostrą Bramę.

Fot. Danuta Rynkiewicz

„Co te ludzie wycierpieli się...”

WOKOŁO najprawdziwsza puszcza. Otchłań cieniście szmaragdowa. To lubię, to jak relanium. Łykam po kawałku.

Kończą się piachy, twardnieje. Doce-
niam: jest bosko. Wrzosowo-liliowo,
ptasio-świergotliwie, olśnienie-natch-
nienie. I zaraz złote flesze między
pniami, i wjeżdżam w jasność. W niej
tytoniowe pole, za którym koniuszek
dachu, dalej stóg. Przystaję i gapię się
z ulgą: jest wreszcie to zadupie.

Dziura jak lisy placek wykrojony z
boru. Staniesz w środku i widzisz: sos-
nowy mur, przy nim pola i domy nie-
wielkie, malowane na zielono, z deko-
racyjnymi listwami w kolorze żółtawe-
go brązu. Z okien zerkają pelargonie.
Domów jest dziesięć. Ludzi nie widać.

Jest droga, z nasypem, co pewnie za-
powiada szosę. Krótka. Od lasu do la-
su. Pylisto-piaszczysta. Po drodze tru-
chtają owce, wzniciając biały puder,
który wlezi do nosa. Przysiadam na
ławce pod płotem, w cieniu.

— Cichusko. Nikt nam nie stuknie,
nie puknie... A to ścierwy gryzą —

mówi Stefania Wrębiak, trzaskając
muchy, które uparcie atakują jej wy-
bulone żyłkami nogi. — Taka wioska.
Zapomniana od świata. Wszędzie da-
leko. Dziura.

No właśnie. Jak.

Maria Goch opowiada o szkole.

— Dzieci w Borowcu kilkoro. Śnieg
nie śnieg, deszcz nie deszcz, a one cho-
dziły nogami, ponad Tanwią. Jak za-
wiał na amen, to zostawał się dzie-
ciak w Olchowcu, u krewnych. Albo w
domu. Strach było wypuszczać. Nieraz

Z drogą gorzej. Kawalek tylko przy-
gotowany pod utwardzenie. Gmina
swoje zrobiła, teraz kolej na sąsiednią
Obszę. Ale Obsza ma połączenie ze
światem. To jej się nie spieszy. We wsi
samochód jeden. U Leńczuków. Nyska.
Kto zachoruje, to zaraz leci po prośbie.
A jak Wandę Gęborysową bóle wzięły,
to Stefan akurat pojechał nyską w po-

DZIURA W LESIE

Ewa Czerwińska

— Zadupie — nazywam po imieniu.

No tak, no tak. Sklepu nie ma, szko-
ły nie ma, ani poczty, ani szosy, ani
autobusu. Dojazdu żadnego. Do gminy
w Łukowej ze dwadzieścia kilometrów,
a przez łąki to może z dziesięć. Do
Suśca piętnaście, do szkoły w Olchow-
cu będzie ze sześć. Wszystko nogami
albo furą...

Podoba mi się — myślę kryteriami
miastowej. Ale jak tu żyć?

któryś przyszedł skąpany. No tośmy
się zdenerwowali trzy lata temu i do
Zamościa pojechali. Dzieciaków z domu
nie wypuściliśmy, zastrajkujemy, jak prze-
jazdu nie dadcie. Niewków będziem
trzymać. A w urzędzie taki więcej
blondynek mówi: Ale u was nie ma
drogi. No to my: O kurcze jego mać!
To zróbcie! Może i ze trzy razy jeździ-
liśmy. Poskutkowało. Przewóz jest.
Traktor z przyczepką szkoła dla nas
dostała.

le. Pięć kilometrów, pod Olchowcem.
Babki musiały furę zaprzęgać i wieźć
rodzącą do gajówki, gdzie telefon.

Porody zdarzają się rzadko; wieś
nierozwojowa. Styp też mało. Babka
Stradomska dożywa pomalutku setki.
Luchowska dziewięćdziesiątki. Ludzie
długowieczni w tym borze. „A bo tu
powietrze jeszcze nie zagrożone” —

Dokończenie na str. 4-5

relacje

ZE ŚWIATA

● Delegacja polska z prezydentem Wojciechem Jaruzelskim, ministrem spraw zagranicznych Krzysztofem Skubiszewskim i I sekretarzem KC PZPR Mieczysławem Rakowskim na czele wzięła udział w obchodach 40 rocznicy powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

● Do ambasady RFN w Warszawie nadal zgłaszają się obywatele NRD, którzy zamierzają wyemigrować do RFN. Oblicza się, że co piąty obywatel NRD opuścił kraj od czasu istnienia tego państwa.

● Tygodnik „Quick” zamieścił wyniki sondaży na temat zjednoczenia Niemiec, przeprowadzonego w NRD i RFN. 64 proc. Niemców wschodnich i 88 proc. zachodnich pragnie zjednoczenia obu państw niemieckich.

● Węgierski dziennikarz Richard Rakocza w dwutygodniku „KAPU” pisze, że „istnieje niebezpieczeństwo stworzenia nowej Małej Ententy, w skład której wejda: Berlin, Praga i Bukareszt. W Czechosłowacji — stwierdza Rakocza — panuje postali-

nizm, trzymający się władzy jak buldog, w Rumunii niszczy kraj jeden z najbardziej znieprawdzonych systemów, a oba te kraje łączy z NRD nie tradycyjne braterstwo, lecz negacja pieriestrojki”.

● Nie znana dotychczas rumuńska grupa opozycyjna Front Ocalenia Narodowego, wezwała do obalenia rządów Nicolae Ceausescu. Członkowie Frontu proponują odsunięcie od władzy prezydenta Rumunii już na najbliższym zjeździe Rumuńskiej Partii Komunistycznej. Na Zachodzie, gdzie opublikowano ten apel, sądzi się, że jego autorami są osoby związane z partią.

● Węgierska gazeta „Mai Nap” poinformowała, że pod koniec września został zamordowany w Rumunii ppłk Ivan Georghe, jeden z szefów Securitate (służba bezpieczeństwa) w regionie miasta Baia Mare.

● Delegacja węgierska, jako jedyna, nie podpisała wspólnego komunikatu z narady sekretarzy KC partii komunistycznych i robotniczych 12 krajów socjalistycznych, ponieważ mówi się w nim o zadaniach umacniania tzw. własności socjalistycznej, a WSPR postawiła przed sobą zadanie stworzenia mieszanej formy własności.

● W węgierskim MSW rozwiązały się organizacje WSPR. Członkom za-

lecono przejść do innych ogniw partii poza urzędami i komórkami tamtejszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

● „Hochsztaplerstwo Nyersa osiągnęło już granice. Obecna Węgierska Socjalistyczna Partia Robotnicza nie jest już organizacją robotników”. Kierując się tymi poglądami, „prawdziwi komuniści” powołali na Węgrzech Marksistowsko-Leninowską Partię Robotników oraz konspiracyjne stowarzyszenie im. Janosa Kadara.

● Po raz pierwszy uchodźca z ZSRR poprosił o azyl polityczny na Węgrzech.

● Węgry stały się pierwszym krajem Europy Wschodniej, który podpisał porozumienie z Wysokim Komisarzatem ds. Uchodźców ONZ.

● Opozycja chińska utworzyła w Paryżu Federację na rzecz Demokracji w Chinach. Jej przewodniczącym został Yan Jiangi, doradca byłego sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chin, Zhao Ziyanga. Chiny oskarżyły Francję o złamanie obietnicy, że nie pozwoli dysydentom i uchodźcom z Pekinu na prowadzenie działalności politycznej w Paryżu.

● Przewódca Organizacji Wyzwolenia Palestyny Jaser Arafat przebywał z oficjalną wizytą w Chinach. Na Placu Tienanmen powitano go honorową salwą artyleryjską.

● „Galileusz jest przykładem dla wszystkich, także dla Kościoła” — powiedział Jan Paweł II podczas odwiedzin w Pizie, mieście rodzinnym uczonego, potępionego w 1633 roku przez Inkwizycję. Słowa papieża odczytane zostały jako pełna rehabilitacja Galileusza.

● Radziecka „Prawda” podaje, że w samych tylko republikach Azji Środkowej i w Kazachstanie jest około 6 milionów bezrobotnych. „Moskowskie Nowosti” informują o bezrobotnych w Mołdawii i Uzbekistanie, których liczbę szacuje się na około 3 miliony. Oficjalnie w ZSRR nie ma bezrobocia.

● Podczas sesji Rady Najwyższej ZSRR deputowani odrzucili rządowy projekt zakazu strajków na okres 15 miesięcy.

● Jak poinformował „Prawdziwy Wiestnik”, w Związku Radzieckim zlikwidowano ponad 20 organów kontrwywiadu wojskowego w zgrupowaniach i formacjach sił zbrojnych ZSRR. Każdy z tych organów kieruje się do pododdziałów zajmujących się walką ze zorganizowaną przestępczością.

relacje

Z KRAJU

● Rzecznik KC PZPR zaprotestował przeciwko publikacji „Gazety Wyborczej”, która ujawniła opinię partii rumuńskiej na temat wydarzeń w Polsce oraz odpowiedź Biura Politycznego KC PZPR.

● Prezes Radiokomitetu Andrzej Drawicz „odwołał z wizji” trzech dziennikarzy DTV: T. Zakrzewskiego, M. Tumanowicza, M. Barańskiego.

● Premier Tadeusz Mazowiecki powiedział, że telewizja i radio podlegają rządowi i tylko od rządu mogą otrzymywać polecenia.

● „Jeśli np. w stanie wojennym szefową akcji tępienia reformatorów (partyjnych, aktywistów „Solidarności” i SDP) była p. Joanna Matuszewska, ówczesny I sekretarz KZ PZPR w Radiokomitecie, jeśli za jej przyczyną dziesiątki uczciwych dziennikarzy, reżyserów, techników znalazło się na bruku za poglądy (a wielu z wilczym

biletem nie miało szans na jakąkolwiek pracę), a dziś widzę w tv ową panią pod mężowskim nazwiskiem Joanny Skoczylas, gdy bez najmniejszej żenady głosi wyklęte ongiś poglądy, zapowiadając stare kroniki PAT, to chyba wolno spytać, za co ta premia?”. (Aleksander J. Wieczorkowski, „Gazeta Wyborcza”, nr 106).

● W odpowiedzi na pytanie dziennikarza BBC, czy odwołanie z funkcji prezesa Radiokomitetu oznacza koniec kariery politycznej, Jerzy Urban stwierdził m.in.: „Będę robić to, co dotychczas, to znaczy funkcjonować jako współpracownik i doradca Mieczysława Rakowskiego, a także będę częściej wyrażał swoje poglądy pisząc, no wreszcie obejmę jakąś nową funkcję”.

● I sekretarz KC PZPR, Mieczysław Rakowski, stwierdził, że niewykluczone jest, aby w ciągu najbliższych miesięcy wyłonili się z PZPR nowe partie. „Jeśli tak się stanie — stwierdził — zejdziemy bezpowrotnie jako formacja ze sceny politycznej”.

● Alfred Miodowicz rozważa możliwość powołania nowej partii o charakterze lewicowym.

● „Kierownictwo PZPR rozczar-

wało mnie — powiedział minister sprawiedliwości Aleksander Bentkowski w wywiadzie dla „Reportera”. — Wybór Rakowskiego na I sekretarza został przez społeczeństwo odebrany chyba negatywnie, jako rzucenie mu wyzwania. Potem podczas spotkania klubów poselskich ZSL i PZPR pan Rakowski najwyczejniej w świecie nam groził. Członkowie naszego klubu odebrali to jednoznacznie negatywnie. I wreszcie uchwała KC PZPR, która próbowała nas pouczyć, ingerować w nasze sprawy wewnętrzne. Był to kliniczny dowód na to, że w PZPR wciąż przeważają postawy zachowawcze [...]”.

● Kierownictwo NK ZSL stwierdziło, że odbudowa niezależnego PSL, tkwiącego w tradycji chrześcijańskiej, była i nadal jest celem stronnictwa.

● Koncepcja elektrowni jądrowej w Żarnowcu pochodzi z lat 1948—50 (odpowiednik czarnobylskiej), jej rozwiązania techniczne — z lat 1955—60, a system zabezpieczeń powstał w latach 1970—75.

● „W Polsce co druga złotówka idzie na żywność! Dla przykładu w USA nawet nie co piąty dolar. W krajach rozwiniętych na żywność wydaja

się od 15 do 30 proc. zarobionych pieniędzy. Więcej niż w Polsce na jedzenie przeznaczają tylko Murzyn w Afryce i część mieszkańców Trzeciego Świata” (doc. dr hab. Kazimierz Bis w wywiadzie dla „Tygodnika Kulturalnego”).

● W samych tylko naukach przyrodniczych promuje się w Polsce tygodniowo 1 profesora, 3 doktorów habilitowanych i 10 doktorów. Czyli, że w ciągu roku przybywa nam 50 nowych profesorów, 150 doktorów habilitowanych i 500 doktorów. Polska krajem ludzi uczących się.

● Lech Wałęsa zapowiedział na konferencji prasowej wycofanie się w najbliższej przyszłości z aktywnego życia politycznego i związkowego. „Teraz idą czasy zawodowców. Ja jestem tylko świetny amator, a miejsca dla amatorów nie będzie. Jest rząd, Sejm, Senat — ja już czuję, że zaczynam przeszkadzać, bo oni są politykami-zawodowcami [...]. Ale źle bym zrobił, gdybym teraz odszedł ze związku. Do zjazdu muszę być. A jeśli będzie trzeba, to znowu przeskoczę przez płot, jak w 1981 roku” — powiedział L. Wałęsa.

CHŁOP ODDAJE, A CHŁOPU?

Henryk Sieńko

C HŁOPI odwożą buraki do punktów skupu i cukrowni, ale nie wiedzą, ile za nie dostaną. Narasta niepokój i zdenerwowanie. „Przecież jak już będą mieli buraki w cukrowni, to zapłacą nam, ile im się będzie podobało” — mówią rolnicy.

O czym jeszcze mówią chłopcy u progu kampanii cukrowniczej? Ana już dziś niepokoją się, kiedy cukrownia wypłaci im „grosz” za ciężko wypracowany produkt. Zwykle rozliczenie trwało ok. 1 miesiąca, teraz, gdy jeszcze nie wiadomo, jaka będzie cena kwintala buraków, może potrwać dłużej. A pieniądź leci na łeb, na szyję...

Jeszcze jeden problem dokucza plantatorom buraka, tylko z pozoru błaży: pionowe otwory na wagach, przez które rolnik podaje książeczkę wagowemu. Te „dziury” muszą zniknąć. Te dziury to plama na chłopskim honorze! Rolnik musi z obowiązku uczestniczyć

w ważeniu buraków i tarowaniu przyczep. Nie będzie wówczas kłótni i pretensji o kradzież...

Na zakończenie — kilka słów o ziemniakach. Wprawdzie już wykopano prawie wszystkie, lecz kampania jeszcze się nie zakończyła. Po prostu — wielu chłopcom, mimo że czekają nawet po trzy — cztery miesiące, jeszcze nie wypłacono pieniędzy. A w tym czasie zdrożała np. ropa, zdrożały nawozy i środki ochrony... Czy to nie skandal, żeby w dobie komputeryzacji zwlekać z rozliczeniem kilka tygodni? Słowa te kieruję do dyrekcji zakładów ziemniaczanych. Bo np. GS płaciły rolnikom już następnego dnia po sprzedaniu produktu.

„Kiedy to się skończy?” — zapytał rolnik z Borzechowa, kiedy po raz kolejny odjechał „bez kwitka” z biura zakładów ziemniaczanych. „To się dopiero zaczyna, zobaczysz pan, co będzie z burakami!” — usłyszał.

Następnie wybrano nowy zarząd Oddziału SDP w Lublinie. Prezesem został ponownie Al. Leszek Gzella, wiceprezami: Andrzej W. Pawluczuk i Janusz Winiarski. W skład zarządu weszli ponadto: Bogdan Wagner (skarbnik), Edward Dmowski (sekretarz) i Marian Buczek, któremu powierzono także funkcję rzecznika dyscyplinarnego. W uchwale przegłosowanej jednomyślnie lubelski oddział SDP postanowił włączyć się do działań, zmierzających do odzyskania majątku Stowarzyszenia, którego zostało ono pozbawione podczas stanu wojennego.

Andrzej W. Pawluczuk

TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

Czy Dziennik Telewizyjny może być przebojem tygodnia? Słowem, czy program ten potrafi wzbudzić zainteresowanie społeczne i stać się źródłem wiarygodnych informacji?

Magda T. (prosiła o niepodawanie nazwiska), studentka z Lublina: — To już nie jest dziennik z okresu stanu wojennego. Ci sami komentatorzy, którzy wtedy opluwali działaczy „Solidarności”, teraz, gdy mówią o Lechu Wałęsie, mają na ustach promienny uśmiech. Ale nie to jest chyba najważniejsze. Nie ma już tendencyjnych komentarzy, a ich miejsce zajęły informacje źródłowe. Rzecznicy poszczególnych stron sami komentują wydarzenia społeczno-polityczne w kraju. Dobrym przykładem są tu wystąpienia Piotra Nowiny-Konopki, czy Jacka Szymanderskiego. Zmienił się całkowicie ton wypowiedzi na temat wydarzeń w innych krajach socjalistycznych. Przekraczanie planów i kroczenie świetlistą drogą komunizmu skończyło się chyba bezpowrotnie. Czasami można zauważyć nawet „przechyl” w drugą stronę, kiedy dziennikarz mówi o rozpadzeniu przez siły porządkowe pokojowej manifestacji w NRD. A co najciekawsze, odtajniona została gra sił politycznych w Polsce. Zmiany? Sama formuła dziennika mogłaby zostać. Za dużo jest natomiast gadających twarzą, a za mało przekazów filmowych. Dziennikarze mogliby być mniej sztywni i napuszeni, przypomnieć sobie, że „wojna” już minęła.

Antoni Mieczkowski, nauczyciel, Świdnik: — Zmiany w telewizji są

logiczną konsekwencją zmian zachodzących w kraju. Co prawda w dzienniku następują one wolniej, ale dają się zauważyć. Nie bombarduje się nas kolejnymi sprawozdaniami z posiedzeń różnych gremiów partyjnych, nie musimy już wiedzieć, co sądzi „pierwszy”, a co uważa „drugi”. Diametralnie zmieniło się nastawienie do Zachodu, jest bardziej wyważone i obiektywne. Zaprzeszono napaściwych i oszczerczych komentarzy w stosunku do przeciwników politycznych. Brakuje mi natomiast informacji o działalności związków zawodowych, ale nie tej politykiarskiej, a czysto związkowej, poświęconej problemom ludzi pracy. Problematyka wsi jest ledwo „liznięta”, same ogólniki. Powinno się dopuszczać do głosu ludzi spoza obecnego spektrum politycznego; to uwiarygodniłoby bardziej dziennik.

Edmund Chmielewski, kierownik jednego z wydziałów w puławskich „Azotach”: — Kiedyś dziennik zaczynał się od sakramentalnej formuły: Pierwszy sekretarz KC PZPR był tu i tu, albo powiedział to i owo. Teraz tego już nie ma. Ale nie ma też jeszcze wielu rzeczowych informacji. Ja chciałbym wiedzieć, ile u nas wydaje się na zbrojenia, na co idą podatki, które, choć czy nie, muszą płacić. Kto personalnie odpowiada za wszystkie „niewypały” polityczne i gospodarcze w Polsce? Do tej pory nic nie wiemy o pracy polskich placówek dyplomatycznych, w których, jak się mówi, „wegetują” ludzie skompromitowani w kraju. Jeżeli dziennik będzie tak oglądany, jak sprzedaje się „Gazeta Wyborcza”, to wtedy będziemy mogli mówić o jego wiarygodności. Wystąpienie Andrzeja Wajdy w dtv, po ośmiu latach nieobecności, zdaje się przemawiać za prawidłowym kierunkiem zmian. Oby tak dalej!

SDP

4 bm. (środa) w pomieszczeniach Duszpasterstwa Środowisk Twórczych w Parafii św. Pawła odbyło się walne zebranie lubelskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Stowarzyszenie, rozwiązane podczas stanu wojennego, działało przez siedem lat nielegalnie, a głównym przedmiotem tej działalności była pomoc tym kolegom dziennikarzom, którzy w wyniku zwolnień i tzw. weryfikacji znaleźli się bez środków do życia. Prezesem ustępującego zarządu — Al. Leszek Gzella złożył sprawozdanie z tego okresu siedmiu lat podziemnej pracy.

„Najłatwiej napisać, że żądamy-żądamy i zastrajkować”

STRAJK W ŚWIDNIKU

Zbigniew Dzieciołek

PIATEK, 7 października. Rano dowiaduję się, że w WSK PZL — Świdnik przerwano pracę. Strajk. Z Lublina autobusem dojeżdżam na miejsce. Przed wejściem do zakładu, oprócz strażników pełniących normalną służbę, stoją ludzie z opaskami „Solidarność”. Wysoko na bramie wisi transparent z napisem „Strajk okupacyjny”. Grupa kobiet z dziećmi skupiła się wokół fabrycznego telefonu. Chcą porozmawiać z bliskimi. Nikt nie wie, jak długo potrwa strajk.

Próbuję porozumieć się z Komitetem Strajkowym. Po kilku minutach młody człowiek wręcza mi oświadczenie Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Nie zgadza się jednak na bezpośrednią rozmowę. Tak ustalili w Komitecie. Swoje stanowisko zawarli w oświadczeniu i nie mają nic więcej do powiedzenia. Czekają na powrót delegacji z Warszawy, która pojechała do ministra przemysłu, Syryjczyka. Żadnych dodatkowych wyjaśnień nie będzie. Moje nalegania nie skutkują. Komitet Strajkowy odmawia jakichkolwiek kontaktów z prasą.

Z Biura Przepustek dzwonię do dyrektora zakładu. Sekretarka prosi, żeby chwilę poczekać. Naczelnym jest zajęty. Czekam, czytając tymczasem oświadczenie Komisji Zakładowej, skierowane do ministra przemysłu T. Syryjczyka i L. Wałęsy:

„W dniu 05.10.89 r. o godz. 10.15 załoga WSK przystąpiła do strajku. Bezpośrednim powodem strajku była decyzja Rady Pracowniczej o przystąpieniu do spółki SIPMA. Po odczytaniu decyzji [...] przez zakładowy radiowęzeł większość załogi postanowiła rozpocząć strajk. Po otrzymaniu informacji o strajku Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” postanowiła poprzeć żądania załogi i przemianować się w KOMITET STRAJKOWY. W wyniku zaistniałej sytuacji postanowiono zebrać żądania załogi, z czego powstała lista poniższych postulatów:

1. Żądamy zwiększenia produkcji, tak, aby w pełni wykorzystać moce produkcyjne w zakładzie.
2. Żądamy wstrzymania zakładania spółek nomenklaturowych do czasu wprowadzenia unormowań prawnych oraz wycofania się z już istniejących.
3. Żądamy odwołania Rady Pracowniczej i przeprowadzenia nowych wyborów.
4. Wyrażamy votum nieufności w stosunku do dyrekcji WSK i żądamy powołania nowej dyrekcji w drodze konkursu, którego zasady ustali minister przemysłu”.

Z dalszej części pisma wynika, że przystąpienie do spółki jest tylko jednym z wielu zarzutów kierowanych pod adresem dyrekcji. Strajkujący nie zgadzają się również na stałe zmniejszanie liczby pracowników zatrudnionych bezpośrednio przy produkcji. Uważają, że dyrektor samowolnie, bez akceptacji Rady Pracowniczej, powołuje ludzi na kierownicze stanowiska. Do tej pory, twierdzą, nie podjęto żadnych kroków, aby wypełnić lukę powstałą po likwidacji produkcji motocykla w 1984 roku.

Dzwonię telefon. Naczelnym prosi do siebie. Jest zdenerwowany i wcale tego nie ukrywa. Strajk trwa już drugi dzień, a nikt z „Solidarność” nie chce rozmawiać. Nikt też nie informował go wcześniej o planowanym strajku. O wszystkim dowiedział się dopiero po fakcie.

— Najłatwiej napisać, że żądamy, żądamy i zastrajkować — mówi dyrektor Jerzy Bojko. — To nie wymaga myślenia. Z drugiej strony barykady wszystko wydaje się takie proste. Zwolnić dyrekcję, Radę Pracowniczą, a produkcja sama się zwiększy. Nic z tego. Każda dyrekcja, jaka by była, potrzebuje czasu, aby wyprowadzić zakład z dołka. Jestem naczelnym dopiero od sześciu miesięcy, a oni chcieliby od razu cudu. Cud już był. Duży popyt na helikoptery skończył się bezpowrotnie. Brakuje zamówień zapewniających ciągłość ich produkcji.

Dyrektor przyznaje, iż park maszynowy wykorzystywany jest w niewielkim stopniu, przez co kuleje produkcja. Zmianowość wynosi 1,2. Oznacza to, że maszyny pracują na całej pierwszej zmianie i w 20 proc. na drugiej, kiedy w normalnych warunkach wskaźnik ten powinien oscylować w granicach 1,7—1,8...

Przerywamy rozmowę. Przez zakładowy radiowęzeł zwraca się do załogi przewodniczący Rady Pracowniczej. Mówi, że nikt wcześniej nie chciał go słuchać. Nie pozwolono mu również odczytać listu, w którym wyrażał gotowość Rady do przyspieszenia wyborów do samorządu zakładowego. W liście tym wyjaśniał też, że w powstającej spółce nie było żadnych prywatnych interesów. Można to łatwo sprawdzić. Potrzebna chwila jest rozważa, a nie gra na emocjach ludzkich — kończy przewodniczący.

— Sam pan słyszał — przykręca gałkę głośnika dyrektor. — Nie chcą żadnych wyjaśnień. Wiedzą swoje i już. A spółka jest rzeczywiście dobrym interesem dla WSK, rozważania o uwłaszczeniu nomenklatury są bzdurne. W umowie zagwarantowano, że w skład Rady Nadzorczej spółki wejdą osoby reprezentujące dyrekcje poszczególnych zakładów-udziałowców (w naszym przypadku mógłby to być dyrektor techniczny) i samorządy pracownicze. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby przedstawicielem załogi

był człowiek z „Solidarność”. W ten sposób unikniemy wszelkich podejrzeń o prywatę. Ten zarzut stawiany przez strajkujących jest po prostu niesłuszny i krzywdzący. Nie można kogoś oskarżać na podstawie domysłów i nie sprawdzonych plotek.

SPOŁKA wygląda tak: ze strony polskiej wchodzi do niej Fabryka Maszyn Rolniczych „Agromet” z Lublina (48 proc.), Fabryka Samochodów z Lublina (10 proc.), Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego PZL — Świdnik (22 proc.). Stronę zachodnią reprezentują trzy firmy włoskie (20 proc.). Główna produkcja to mikrociągniki jedno- i dwuosiowe, wytwarzane w oparciu o dokumentację i technologię włoską. W WSK miałyby być robione wysokopięne silniki do tych ciągników.

— My wydzierzawiamy halę — dodaje dyrektor Bojko — dajemy obrabiarki (około 30 sztuk) i wkład pieniędzy zamieniony częściowo na oprzyrządowanie. Docelowo przy produkcji silników pracować ma około 200—300 osób. Oprócz przysługujących nam w przyszłości dywidendy, mamy zagwarantowane prawo pierwokupu nadwyżki silników, na bazie których robilibyśmy agregaty prądotwórcze dla wsi. Istnieją też możliwości zlecenia fabryce przez spółkę wykonania innych detali do produkowanego ciągnika, co jest w pewnym stopniu odpowiedzią na żądania strajkujących, aby w pełni wykorzystać moce produkcyjne w zakładzie. Tylko że oni nie chcą tego zrozumieć.

— Nie twierdzą, że spółka rozwiąże wszystkie nasze problemy — podkreśla naczelnym WSK — ale stwarza realne możliwości rozwoju zakładu. Jeżeli w tym przypadku okażemy się solidnym partnerem dla Zachodu, to w przyszłości możemy liczyć na kolejne propozycje współpracy...

Kolejny komunikat. Komitet Strajkowy oświadcza, że strajk będzie trwał przynajmniej do czasu powrotu delegacji z Warszawy od ministra Syryjczyka. Głos z radiowęzła informuje, że kobiety mogą po pracy iść do domu. „Moralnym obowiązkiem załogi jest kontynuacja strajku” — płyną z głośnika słowa przedstawiciela „Solidarność”.

Na biurku dyrektora dzwoni telefon. Na linii Warszawa. Dziennik Telewizyjny prosi o informację o sytuacji w zakładzie. (Wieczorem w Echach Dnia idzie wiadomość o strajku okupacyjnym w WSK).

Wracam do przerwanej rozmowy. Pytam naczelnego, czy ma opracowaną ramową koncepcję rozwoju fabryki.

— Znalezione dużej i opłacalnej produkcji wymaga czasu — odpowiada Jerzy Bojko. — Na dzisiaj chcemy uruchomić produkcję automatów do pakowania materiałów sypkich dla przemysłu spożywczego i automatów do etykietowania i zakręcania słoików. W planach są także urządzenia dla ogrodnictwa i przemysłu włókienniczego. Prowadzimy pertraktacje z Peru w sprawie kontraktu na sześć helikopterów typu „Sokol”. Musimy być elastyczni, aby móc przystosować się do nowych warunków rynkowo-gospodarczych.

Tyle o sytuacji ekonomicznej. Natomiast zarzuty dotyczące samowoli w obsadzaniu stanowisk kierowniczych i przerosła kadry zarządzającej dyrektor uważa za nie całkiem słuszne. Tylko w jednym przypadku (na kilkanaście) Rada Pracownicza zaopiniowała negatywnie jego propozycję zmiany, którą mimo sprzeciwu Rady podtrzymał. Na ponad siedmiusetosobową grupę kierowniczą (8 tys. pracowników liczy cały zakład), odwołał w sierpniu i wrześniu 70 osób. Dyrektor uważa, że to dużo, „Solidarność” zaś, że niewiele.

— Rozumiem złożoność naszej sytuacji — kończy naczelnym. — Mam świadomość, że nie wszystkie sprawy udało się do tej pory załatwić. Ale czy strajk je załatwi? Wątpię. Nie można wciąż myśleć kategoriami stanu wojennego, bo to do niczego nie prowadzi. Zresztą tego strajku, tak do końca, wcale nie popiera — jak sugeruje „Solidarność” — cała załoga. W nocy z czwartku na piątek w zakładzie pozostało raptem kilkaset osób. Może należałoby się zastanowić, kto, tak naprawdę, chciał strajku?

Ponownie włącza się zakładowy radiowęzeł. Powróciła już delegacja strajkujących z Warszawy. Komitet Strajkowy ustala zebranie na godz. 15. Naczelnym ma nadzieję, że może teraz zechcą z nim pertraktować.

WYCHODZĘ od dyrektora Bojki i raz jeszcze próbuję skontaktować się z ludźmi z Komisji Zakładowej „Solidarność”. Nic z tego. Nadal odmawiają udzielenia jakichkolwiek wyjaśnień. Twierdzą, że są to ich wewnętrzne sprawy, o których nie mogą ze mną rozmawiać.

W siedzibie drugiego związku dowiaduję się, że OPZZ nie poparł wprowadzenia formy protestu (propo-

nują przekształcenie strajku okupacyjnego w porotwie strajkowe), ale wszystkie postulaty strajkujących uważa za słuszne. Oni też nie chcą spółki. Twierdzą, że nie przyniesie ona żadnych korzyści fabryce.

— Moi związkowcy uważają — mówi szefowa Związku Zawodowego Pracowników WSK PZL Świdnik, Lidia Czyż — że gdyby dyrektor w czwartek wystąpił przed załogą, nie doszłoby do strajku. Mają o to do niego żal. Mógł wiele rzeczy wyjaśnić, a tak znajdujemy się, jak na razie, w sytuacji bez wyjścia.

Opuszczam zakład. Po drodze przyłączam się do kilku robotników wychodzących razem ze mną.

— Nie strajkujecie? — pytam.

— Strajkujemy, ale na zmiany. Część załogi została, a reszta poszła do domu na obiad. Wrócą.

Nie są całkowicie przekonani o konieczności strajku okupacyjnego. Można było rzecz całą załatwić inaczej. Trudno. Stało się. O spółce niewiele wcześniej wiedzieli, ale to pewnie nic dobrego dla nich, skoro przewodniczący zakładowej „Solidarność”, Król, zastrajkował.

Strajk okupacyjny zawieszono tego samego dnia o szóstej wieczorem. Od doktora Lesława Pagi, ekonomisty, który proszony był o konsultacje i wyjaśnienie załogę WSK działania tej i podobnych spółek w kraju, dowiedziałem się, że pod presją „Solidarność” dyrekcja świdnickiej fabryki wycofała się ze spółki.

— Jak można było do tego doprowadzić? — dziwi się dr Paga. — Przecież WSK niczym nie ryzykowała, wnosząc zaledwie 3 proc. swojego majątku do spółki, która dawałaby zakładowi same korzyści. Zatrudnienie kilkuset osób, wykorzystanie części bezproduktywnych maszyn, dodatkowe zlecenia produkcyjne, a co najważniejsze, przełamanie pewnej świadomości, że jedyną formą rozwiązania istniejących trudności jest kupienie bądź wejście w spółkę całego zakładu. W końcu otwierała drogę na rynki zachodnie. Kto teraz zechce pertraktować z partnerem, który okazuje się być niesolidny i chwiejny jak chorągiewka? Nie można bawić się w strajk, gdy wchodzi interes handlowy fabryki. Tym bardziej, że nie ma ona do tej pory jasno sprecyzowanej strategii rynkowej. To, co teraz tam się robi, to zwykłe działania „na przetrwanie”, a nie na rozwój.

— Byłem w WSK w pierwszym dniu strajku razem z przewodniczącym zarządu regionu Stanisławem Węglarzem — podsumował dr Paga — który również tłumaczył strajkującym, że nie mają racji i zapytał ich, czy przyjąłby taką samą spółkę od Wałęsy? „Od Wałęsy musieliby przyjąć” — padła odpowiedź.

Uwaga! Prezydenci miast, naczelnicy miast i gmin, naczelnicy gmin

Biuro Planowania Przestrzennego Przedsiębiorstwa Państwowego Użyteczności Publicznej w Lublinie przyjmie do opracowania w latach 1990—1991:

- plany ogólne i szczegółowe zagospodarowania przestrzennego miast, gmin, ośrodków gminnych, terenów budownictwa mieszkaniowego wielorodzinnego i jednorodzinne z wyznaczeniem terenów pod skoncentrowane budownictwo jednorodzinne;
- ocenę aktualności planów ogólnych i szczegółowych i ich aktualizację;
- studia programowo-przestrzenne dla potrzeb gospodarki przestrzennej;
- koncepcje planów realizacyjnych;
- programy ogólne infrastruktury technicznej w miastach i na obszarach wiejskich.

Biuro Planowania Przestrzennego gwarantuje wysoką jakość opracowań oraz zapewnia kompleksową obsługę w zakresie toku formalno-prawnego wynikającego z ustawy o planowaniu przestrzennym.

W czasie prac nad planem świadczymy usługi w zakresie opiniowania spraw do decyzji administracyjnych.

Tylko Biuro Planowania Przestrzennego w Lublinie, zatrudniające wysokiej klasy specjalistów-urbanistów, zapewni Wam w szybkim czasie otwarcie możliwości rozwojowych odpowiadających zmieniającym się potrzebom.

Oczekujemy zgłoszeń pod adresem: Biuro Planowania Przestrzennego Przedsiębiorstwa Państwowego Użyteczności Publicznej w Lublinie, ul. 22 Lipca 9, tel. 220-49, 258-30.

8535/K-2



Fot. Waldemar Stępień

Dokończenie ze str. 1

mam pierwszą dobrą wiadomość na tym babskim sejmie.

Powietrze jak miód. Chłodek od Tanwi.

ALEKSANDRA Luchowska, lat 86, trochę chora. Szyję zawiąło. Przeciąg przeleciał. Z tego taka słabość się wzięła, że nawet ulubionej „Dziedziczki” nie obejrzała w niedzielę.

— Od wiatru trza spalić — doradza sąsiadki. Nadstawiam ucha.

— Cicho! Ja powiem — przerywa chór jedna. — Jak z wiatru, to musowo spalić. To tak. Bierze się płótno lniane i kładzie na człowieku. I wituszki z włókna skręca się. Jak nie ma włókna, to z kordonku. I zapala. I dmucha, żeby ten wiatr wyszedł z człowieka. Jak choroba z wiatru, to pomaga. Na różę to samiutko.

Z jajkiem sprawa, moim zdaniem, prostsza. Zapisuję uważnie. Bierze się szklanekę, napelnia do połowy wodą, kładzie dwie słomki na krzyż i przez nie przelewa białko. Potem patrzy się, co tam w wodzie wychodzi. Zawsze wychodzi jakiś znak. Może trumna, może krzyż, a może co innego. Jeszcze przemawia się nad chorą głową (to już wyższy stopień wtajemniczenia) i żegna. To wszystko. Jajko jest od przestachu. Jasne.

— No tak — mówi Leńczuczka, żona Stefana, tego od nyski. — Jak się mój Darek z rzeki przestraszył, to ja zaraz na wóz i do baby na Zamch. Po drodze dziecko mi majaczy, wojsko mu idzie, drzewa ruszają się. Gada nie wiadomo co. A ona tylko jajko wylała i zaraz przeszło.

— Eee tam! To wszystko lipa jest — nie zgadza się córka Luchowskiej.

— Nie wierzcie ludzi?! — oburza się babka Luchowska. — Ten nie wierzy, co mu nic. A jak człowiek złu na patrzy się, głowa go boli, to się wody w usta weźmie i przez przetak opryska. Na psa uroki. Zawsze pomoże. Ja wiem, pani, bo ja starodawna. Kiedyś lekarzy nie było.

Kiedyś. „Kiedys” Aleksandry Luchowskiej dalekie. Z początków wieku.

Borowiec był dużą wsią, zagrody szczelnie utykały lysinę. Miał swoje przysiółki: Kozaki, Głuchy, Błonie. Pięćdziesiąt dwa numery, a pod każdym kilka rodzin. Mieszanka katolicko-prawosławna. Pół na pół. I bieda. Ludzie po dworach chodzili za robotą, do lasu. Babka Luchowska aż do Rygi jeździła, „do baora, co miał dużo ziemi”.

Wspomnienie Czesława Pakuły bliższe.

— Polaki i prawosławne tu mieszkali. Jednego śmy mieli wyrzutka, na Błoni, co chciał nam Ukrainę robić. A tak, nikt nie przeszkadzał sobie.

— Drewniane budynki stali, przeważnie pod słomą. Most żebrowy, sztachetowy przez drogę leciał, żeby się fury w pjachu nie zaorali.

— Ludzie robili w lesie, a las był pana ordynata. Tratwy zbijali, co nimi drewno aż do Gdańska szło. Bryczarze bardzo dobrze zarabiali — po piętnaście, trzydzieści złotych nawet. W kupne rzeczy za te pieniądze ubie-

rali się. A Zamch, na ten przykład, w ubraniach swojej roboty chodził. W lnianych i wełnianych. Pani, tu każdy gospodarzem był do Bożego Narodzenia, a potem worek na plecy i po zboże do Józefowa. Albo na zarobek w świat.

— O tam gdzie te klony, stał plac szkolny, dwie szkoły — polska i ukraińska, i zaraz sklep. I karczma pod lasem, jak wylot na Susiec. I dom ludowy śmy mieli. Kuźden jeden dał sosnę na ten dom. Samiśmy wybudowali.

Dom Pukały na górze, tyłem do rzeki. Dalej stodoła drewniano-słomiana, taka od Chelmońskiego, co to każda dziurą pozuje. Z górki widać krzyż przydrożny i pomnik. Pomnik inny niż ten przy drodze do Żukowa, inny niż ten w okolicach Huty Różanieckiej. Żadne dzieło, Ale znaczy.

— Niech pan jedzie na Zamch, do Czuryły — mówi Pukała. — On dokładnie powie jak było.

Chmurzyska spaśne, bałwaniaste, kotlują się nad czarną krechą lasu, jak opętane. Zaraz rozleca się i siknie. Buzonier ciągnie w dół, spać się chce. Albo kawy. Michał Czuryło, u którego mechanizacja na wysokim krajowym poziomie, młynek elektryczny ma akurat zepsuty. Mielimy w tym na kłosa, od pieprzu. Czuryło trzyma, ja kręcę. Kawa wychodzi piekielna — z resztkami pieprzu. Zar. Łyk wrzątku i trzy chuchy, jak po spirytusie. Dobrze jest.

Czuryłe kawy pić nie wolno. Migotanie przedsióneków. Popija kure do towarzystwa. Skąd to migotanie? Z partyzantki.

— U nas, na Borowcu, wojsko polskie rozbijało się w trzydziestym dziewiątym — zaczyna z energią Czuryło, rocznik 28, sercowiec z duszą najmłodszego watazki. — Wcześniej zrobiło zasadzkę na Niemca we wiosce, co się Podsośnina nazywa. Ale Niemciach natarcie zrobił i nasi uciekać musieli. Sporo przeszło na Borowiec. Głodni byli, kartofle świniom wybierali. To matka chleba im napiekła. U nas chłopaki warszawiaki zabrywali się. Bez dzień i noc. Rano przyszedł sierżant, pobudził i mówi, żeby przedzierać się na Rumunię. Poszli ci, co chcieli, a ci, co nie, na Kozakach zostali się. W cywilne ubrania poprzebierali się i poszli do domu, broń zostawisz. U nas, pani, kuźden jeden miał broń. Samiśmy z bratem karabiny do rzeki wpuścili na przeczekanie.

— Na trzeci dzień przyszli Sowiety. Na koniach, brudne dziadostwo, że nie opowiedzieć. Lejtienanta od prostaka nie odróżnisz. I oni nam powiadają: „Wy siebie aruzio schranicie, bo to las blisko i wojna”. Pogadali oni i za granicę poszli. Rusko-niemiecką, za Cieszanowem. Myśmy pod Niemcami zostali się.

— Tydzień naprzód kordony wojsk niemieckich przez Borowiec przemaszrowali, na Ruskiego szykowali się. Tak to się u nas to wojsko rozmijało. Spotkali się w czerwcu czterdziestego pierwszego.

— Dwudziestego czerwca, jak dziś pamiętam, Niemiec w naszej wiosce rozłożył się. Patrzę ja, ciekawy chło-

pak był ze mnie, a tu na platformie oficer wylazi, chudy, wysoki, siwy, i do żołnierzy przemawiać zaczyna: „Już tro — powiada — zaczynamy wojnę z Sowietem. Jak wygramy, to przez czterdzieści lat będziemy w białych rękawiczkach chodzić. Zniwoleni za nas robić będą”. Ja wiem dobrze, co mówił, bo nam ojciec przetłumaczył. Przed wojną do Niemiec na roboty chodził, to się wyuczył szprechania.

— W niemieckim wojsku Słazacy byli i oni nam mówią: kopać schrony. Ludzie bał się, wieś pod słomą, a Ruski też ma kanony, no nie? To kopali.

— Dwudziesty pierwszy czerwca, godzina czwarta rano, a tu bombowce niemieckie prują na Lubaczów, gdzie już ruski kraj był. Sowiety spod granicy przyskają. A potem Ruskich, jak to bydło, szkop gnał. Jak chudoba zdawali się, jak te barany na rzeź prowadzone. Do lagra pędzili. Ruscy niewolnicy, zdarzało się, zza drutów uciekali i w lesie kryli. A puszcza wielka jak dzisiaj stała. Z nich partyzantka zrobiła się. Do Ruskich Polacy doszłusowali. Miszka Tatar — pierwszy dowódca. Jak zginął, to Waśka Gruzin kamandirem został się. A potem oddziały rozdzieliły się i na czele polskich Anton Wróbel z BCh stanął. W czterdziestym drugim Wróbel miał gdzieś z pięćset chłopów, Waśka ze dwieście. Współpraca była między wsiemi. Nie było: wy bechowce, my akowcy, tamte Ruskie, a one Żydy. Bo i Żydy w lesie chronili się.

— Pani, żeby to ja wtedy pamiętnik pisał, to by dziś gotowe było, a tak?

CZURYŁO w pamięci szpera i wyluskuje dalej.

— A ten Borowiec, jak karna wioska był. Kuźden jeden partyzant przychodził i daj. Jeść daj, konia daj. Za dziewczyną obejrzyć się chciało. A jak nie, to sam brał. Gorzko, pani, spomnieć.

— W czterdziestym drugim Szwaby, wściekli się, dawaj z chałup wyganiać. Ojciec mój patrzy, a oni już poza naszymi wrotami stoją. No to poleciał do stodoły żarna rozbierać. Z żarnami to było tak. Plac tak jakby tu stał — kreśli Czuryło palcem na ceracie — a za nim pustka, przejście takie, i zaraz Głuchowa siedziba. A Głuch podsołtysem był u nas na wiosce. I prawosławny. Mówi on raz do swojego ojca: „Kaziuk, ty sobie moje żarna weź, ty zmielesz, ja zmieję”. A trza pani wiedzieć, że we wojnę tylko Szkop miał prawo mąkę jeść. Ale dalej. Wziął ojciec te żarna. No i teraz Szkozy nalażą. To ojciec leci do stodoły, a tu halt! Żaren Niemcy nie szukali, tylko partyzantki. Wszystkich chłopów spędzili do Głuchowej szopy, i baby też. „Nie ten bandyta, co w lesie, ale ten, co mu pomaga”. — tak krzykali. I wszystkich twarzą do ziemi, a nad każdym skurczybyk z pałą stał. Obmacywali jak wściekle psy, we włosach nawet. Potem z listy odczytywać zaczęli i pognali do obozu. Baby, co zostali się, na Głucha pomstować zaczęli, że to on wydal. Po całych nocach tak wyli, że trudno było przesiuchać.

— Za tydzień partyzantka przysła sąd wymierzyć. Głuch wtenczas na szopie z sianem spał. Z siana zeskoczył i w Bobrowe pole, tam gdzie gruszki stali. A partyzantka pod gazem była, bo kooperatywę w Zamchu rozbiła. „My chcieli tego skurwysyna, szpiega niemieckiego zabić” — mówią. Zabili Sieniawskiego, co miał współpracę z Niemcami, i Nikitę Parnaka, co o nim ludzie gadał, że to bardzo interesuje się, do kogo partyzantka przychodzi. Świeć Panie nad ich duszą, jak to się mówi. Winni, niewinni, tamta pora osadziła. Co do Głucha, to ja myślę, że on nie szpiegował.

— Jak nie dopali Głucha, to zaczeni Głuchowe baby bić. Matkę i stryjnę. Córka Parańka uciec zdążyła, bo partyzantka młodych bab nie żałowała wcale. Głuchowa u nas na chliwie schowała się... Pani, dwadzieścia cztery morgi ten Głuch miał, bogacz na całą okolicę, dom pod czerwonym dachówką, a tu pyki! i już się ubytacja pali. Widzę jak dziś. Kiczki chliwa słomiane, to zajęło w minutę. A wraz z Głuchową siedzibą nasza spalita się. Bez

dachu zostaliśmy się. Tylko przysmoloną żywną z obory wypędziło się. Stryk z Zamchu przyjechał: „Gołym tykiem na piecowisku siedział nie będziesz” — do ojca powiada. I zabrał nas do siebie. Z matką śmy na żebranię chodzili, do czasu, jak była pacyfikacja i rodziców na Majdanek zabrali. Zostaliśmy się, ja i brat Andrzej, sami. Przytulisko było u Siergieja Litkowca, badacza, świadka Jehowy, co buty reperował. A jak matka z ojcem z obozu wrócili, to u niego też zaczerpienie znaleźli.

— Co te ludzie wycierpieli się... Co narodu wyginęło przez to, że wioska partyzantom pomagała... „Wy borowieckie bandyty!” — krzyczał Niemiec. A było inne wyjście, pani, było czy nie?

— „i Kośció Borowiec zginął, i Luchowskiego Michała dzieci, i Sum Anna, i inne...”

— W czterdziestym trzecim, w kwietniu, Kozaki Niemcy spalili. Zginęli: Koman Mikołaj, Kędziera Łukasz, Szydło Paweł, Litkowiec Olga, Sawka i Wasyl Litkowiec, Zdan Wojciech...

— Ja już wtedy w partyzantce kręciłem się. Nam o jedno chodziło: wroga bić. Tośmy niby kloce wozili, a naprawdę tor między Oseredkiem a Nowinami minowaliśmy. Od Belźca do Zwierzyńca pociągi w powietrze wylatywali jak z procy.

— Lato czterdziestego czwartego zbliżało się. Ruskie spuściły desant na Błonie. Coś z sześćdziesiąt parasutów. A Niemcy swoich, w tym i Kałmyków, sprowadzili do Józefowa, Suśca, Osuch.

DZIURA

Łukowej i Zamchu. Dalejże Borowiec otaczać.

— Czterdziesty czwarty, czerwiec. Pamiętny czas, bo wtenczas Szkop całkiem Borowiec pomarnował. Najsamprzód puścił artylerię. A my pod Osuchami stali. Jak zaczęli kuli sypać, to tylko świstało. Ja, Stefek i Lutek podeszliśmy do wsi chleba wziąć. Przekradamy się, między krowy śmy na łące wleźli, wioska już blisko. Kuli pac-pac, a od nas w bok Sowiet siedzi z lornetą i krzyczy: „Job twoju mat’, na kloni Niemiec sidit!” A to prawda: Szwab, skurczybyk, dachówkę sobie odłożył na Lepa stodołę i wali. Ja popatrzył się, a tu marynarka u mnie przecięta... Dał Bóg pożyć jeszcze...

— Zaraz rozkaz przyszedł: wycofać się. Tośmy przez łąki grabowieckie, majdańskie na truscinę straszna, bagna, przedarli się. Dalszych rozkazów czekamy. A tu Niemcy ścisiskają nokoło jak myśliwy zwierza. Nasz Anton, miał mieć wtenczas rozmowę z ruskim kamandirem. Mówili, że było tak. Ruski: „Rebiata, paszli z nami” (przebijać się przez szwabski pierścień). Na to nasz dowódca: „A po cholere? My sami się przerwiem”. Inni znów mówili, że mieliśmy się przedzierać razem, ale w końcu Ruskie nas zostawili. Sami w takie bagna wsadzili się, że koni i wozy na rękach musieli przenosić. U nas pod Sopotem zaplanowane było przebić się. No to przebijamy się. My do przodu, a Niemcy z dwóch stron. W armatnie i moździerzowe pazury nas chwytają. Tośmy wpadli! Wtenczas kuźden na swoją rękę cofał się w las. Osobno albo grupkami. I gdzie się teraz pan podzieje, no gdzie?! Nie było czasu rozpaczać. My się żywymi w ręce wroga nie damy — kuźden tak myślał. Chłopakom żyć się chciało, oj okropnie, pod tymi Osuchami...

— W trzech śmy się zgrupowaliśmy i myślimy: jak tu przeżyć. Bekka niemieckiego na pięćdziesiąt sztuk śmy mieli, Lutek miał angielskiego stena, a ja kabeka. W lesie od Niemców gęsto, każdy krzak czeszą. Strach. Ale Pan Bóg włożył rozum do głowy, schron w ziemi robim. Szybko śmy dziurę wykopali, sosenki małe na wierzch położyli, gałęzi poznośli, szczeciną posypali. Nikt by się nie poznał, że pod ziemią ludzie siedzą.

— Leżym. A na nas sosenki. Samoloty niemieckie, skurwysyny jedne, chodzą jak wrony. Trrrrum, trrrrum! Kuli jak te ulegalki lecą. A nam serca buch-buch, i zimny pot strużką między oczy płynie, i w krzyżach drętwo.

— Ze trzy godziny bili. Nawet Stefek, co to by Chrystusa z krzyża zdjął,

bandyta jeden, fest barczysty chłopak, jak cukier biały zrobił się. „Ja pierdolę! — zaklął sobie dla odwagi. — Zebym mnie zabił!”

Ale najgorsze dopiero szło.

— Ucichło trochę. Wylażę ja z tej ziemi i wody przynieść. A tu patrzę: za garbem Niemców pełno. To ja z powrotem do dziury. Cicho chłopaki! Życie albo śmierć! Szwargot słychać już nad nami. „Essen, essen!” Znaczą jeść będą. Nad nami sobie, kurwa, niejsze wybrali. Terabań męzka. W dziurze gęsto od strachu. Serce gardłem pakuje. A tam na górze Szwabki spokojnie to swoje essen wpięprzają. Lutek nie wytrzymał, popuścił, ale dalej granat w ręce ścisną. No! Nażarli się. Wstają. A zaraz potem, co krzak, to kuli parę. Sprawdzali, czy nasi w zaroślach nie chowają się. Już śmy mieli z tej dziury wylażyć, ale patrzmy. A tu zaraz pod nosem Szwab sra. Szczęściem tak sobą zajęty był, że naszego szmeru nie słyszał...

— Pani! To wielgachne opowiadanie. Do jutra nie skończym. A tu trza tytoń nawlekać... Teraz my w Zamchu gospodarz, ale niech pani napisze: Borowiec to moja siedziba.

— A jeszcze jedna cię czeka — żartuje żona Czuryły, Paraskjewa. — Na cmentarzu.

Wracam do Borowca, drogą tak samo puskudną, jak ta z początku wędrówki.

— Od Zamchu szły Własowce, inaczej Kałmyki, wie pani: oczy ukośne, nosy plaskate. A Niemcy szli od Suś-

W LESIE

ca — ciągnie wąż Czuryły Aleksander Wołoszyn. — Oblawa na wioskę. To ludzie uciekali do puszczy, na Fleszarke, Kapuścianą Górę... Ale Niemiec wyczeszał chłopów, pognał na Biłgoraj, Zwierzyniec — do Majdanka. Wrócili niedługo, bo front wschodni gnał. A kobiety zabrali na Wołę Obzanięską i zostawili w pieruny. Ja był raniony, spodnie dobrze sfarbowane na nogach, to mnie łańcuchem przyciągali i zostawili. Matka mnie za wioskę wyniosła, gdzie rów był i mostek na nim, z dyli, sitnikiem porosłych. Do tego rowu schowała. Takim całym dzień przeleżała, aż mnie niedobitki z lasu znaleźli i do lekarza zanieśli. Lekarz był od Władysława Pardusa, dowódcy placówki AK w Suścu. Jak zobaczył rany, to się zdziwił: „Chłopaku, już ci te nogi robaki wyczyścili”. A lipiec był. Skwar,

— Wtenczas Niemcy Borowiec palili. Jeden zrab został się. Z chałupy Wawrzyniewicza, młynarza. A ile, pani, kobiet pogwałcili... Kostkową Jankę złapali, zrobili, co chcieli, i wrzucili do ognia. Luchowskiego, co został się w domu, bo był stary, całego do pasa postrelili...

— Tu, pani, wszystkie powinny odszkodowania dostać. O Osuchach się mówi, o Różańcu i innych wioskach, a o nas cichu sza. Nikt o Borowcu nie pamięta. Zawsze rów na końcu... — kończy refleksyjnie Wołoszyn, z poczuciem nieważności borowieckiej historii w wielkim ogólnościowym dramacie. Wiem już, po co wsi ten pomnik.

Po wojnie wieś odkopywała zmarłych, zęgnęła, kładła z powrotem do ziemi, a potem sama zaczęła podnosić się z kłęczek. Ludzie na plecach dźwigali bale sosnowe z lasu, byle jakie chatki majstrowali. Wszy i pluskwy zarły, głód wysysał.

Wojny nie dało się tak łatwo strząsnąć jak robaka. W czterdziestym siódmym, kiedy wojsko goniło po puszczy za ukraińską armią, w jednej z borowieckich chałup zginęło dwóch polskich oficerów. O Tarasie Bulbie ludzie niechętnie mówią. Po co rozgrzebywać... Prawosławni wyjechali do Związku Radzieckiego. Zostali ci, którzy czuli się Polakami. Ale i z tych część porzuciła śródleśne piachy i przeniosła się tam, gdzie ziemia żyźniejsza, gdzie świat otwarty — do Zamchu i Olchowca.

Przyjechał Jan Grabias, nauczyciel, syn przedwojennego kowala z Tarnogrodu. Ten, co nigdy nie bał się powiedzieć o czwartym rozbiore. Poz-

nał tutejszych, zrozumiał. Do Borowca przywiózł własną wojenną historię.

— Niech pan opowie — proszę, ciekawa tych opowieści, dla których mój czas terazniejszy jak z gumy.

Więc tak. Czterdziesty trzeci, czerwiec. Rynek tarnogrodzki pełen. Pacyfikacja. Ludzie plotkują, że miejscowi Ukraińcy po siedemdziesiąt pięć złotych płacili Niemcom od wywiezionej głowy. Popłoch. Potem podróż do Bełża. Tam cztery doby oczekiwania na spalenie w piecu. Ale wjeżdża wielki transport Żydów z Rumunii i Węgier. Żydzi mają do pieca pierwszeństwo. Wtedy grupę z Tarnogrodu wbijają w pociąg i do obozu w Zwierzyncu. ProWORNICZNE baraki w lesie, ponad tysiąc osób przyklejonych do siebie z ciasnoty i strachu. W środku paki, do których w nocy załatwia się potrzeby. Smród. Przed barakami shtywni, co nie wytrzymał. Grabiasowie trzymali się. Matka, ojciec, Jan, dwóch braci i siostra.

Potem Lublin, obóz przejściowy na Krochmalnej. Po tygodniu Majdank, Łaźnia, kąpiel, każdy patrzy, czy naprawdę woda cieknie, ubrania do worka — w zamian pasyaki i numery. Wieże, wartownicy z psami, prąd w drutach. Smoła, z której robiło się piłki. Dzieciństwo inaczej.

Chleba mało. W zupie raz kawałek ziemniaka, raz kapusty, raz nic. Czasem można było wydrapać beczki po zupie w obozowej kuchni.

Matka zachorowała. Tyfus. Poszła do baraku szpitalnego. Zostali sami: Jan, Antek i Stasia. Starszy brat był z ojcem na innym polu.

Neumark w Alpach austriackich. Obóz przejściowy. Rodzina w komplecie. Głód gorszy niż na Majdanku. Przed barakiem nowe trupy. Dorośli pracowali w kamieniołomach.

Dachau. Przyjeżdżali bauerzy po niewolników. Grabiasów nikt nie chciał, za dużą rodziną.

Trzydzieści pięć kilometrów na wschód od Monachium. Erding. Obóz pracy. Komendant — inwalida wojenny spod Stalingradu, SS. Załatwił kartki żywnościowe dla wszystkich dzieci, pokazał, gdzie można dostać coś bez kartek. Dwie polskie rodziny — Grabiasów i Futymowskich z biłgorajskiego. Francuzi i Włosi. Czesi i Belgowie. Rosjanie.

Anglicy pikują. Nalot. Chłopcy na polu, tulą się do kapuścianych głów. Klim, Rosjanin, koło Janka. „Boh chrani...” — szepce Klim. „To kak? — żartuje Janek. — Boh dla ciebie jest?” Klim zawsze sprzeczał się, że Boga nie ma. Przemienienie w kapuście.

Pierwszy maja. U.S. ARMY is o.k. Jeepy obładowane czekoladami, Murzyni jak w kinie. Spis: kto chce do kraju, a kto do Ameryki, Kanady, Australii... Szwec Remiński z Odessy: „Nie jedźcie do Polski, bo jak was wyzwolili nasi, to tylko głód będzie...” Grabiasowie wybrali kraj.

Granica w Dziedzicach, wrzesień. Dom w Tarnogrodzie cały w pokrzywach. NKWD. Latwo poznać: czerwony otok na czapce, buty z cholewami.

Potem liceum pedagogiczne w Szczepieszynie, pierwsza szkoła w Łukowej. Placówka w Różańcu i — Borowiec, pięćdziesiąt dziewięć lat.

Szkoła — jednoklasówka w izbie u Wołoszynów, potem u Leńczuków. Grabias uczył wszystkiego. Historii Borowca też. Uczniwie. W sześćdziesiątym pierwszym ożenił się z wdową po Wiktorze Wawrzyniewiczu, Wandą, zesłanką z Kazachstanu. Wawrzyniewicz długo męczył się na gruźlicę, zmarł, nie doczekawszy się zbawidowskiej renty. Zdrowie tracił w AK. Dlatego się nie doczekał.

Nie ma młyna Wawrzyniewicza. Został kawałek turbiny. Nie ma sześciu przedwojennych młynów na Tanwi.

Nie ma szkoły. Młodzież ucieka tam, gdzie kaloryfer, sklep, światło. Grabias nie dziwi się.

Do melioracji w Borowcu łąki z niebem w jedno się łączyły. Trawa stała w wodzie, w niej cyranki ganiały się. Po melioracji ruszyło się gniazdo. Ludzie zaczęli korzystać z łąk. Leńczuk kupił ursusa na gruszkę rozgrzewaną. pierwszy we wsi siewnik. Ale pierw-

szy telewizor kupił nauczyciel. „Ametyst 106”. Do dziś na chodzie.

U Leńczuków na podwórzu żuraw. a w domu trzy telewizory. W każdym pokoju po jednym. Żona Leńczuka starszego, Neonila, w Nowym Jorku siedzi.

— Tam się nie narobi, w cieniu se spocznie — usłyszę pod płotem. — Dolary posyła. ...Mówi, że na rentę w tej Ameryce poczeka. Dopiero wróci się.

— Przyjechała teściowa na wileń w zeszłym roku — opowiada Genia Leńczuczka, synowa Neonily-amerykanki, ładna brunetka — i każe mieszkanie w mieście kupować. No, a co ja będę w mieście robić? Teś ziemię nam przepisał, traktor mamy i budynki w dobrym stanie... To czego nam w mieście szukać? Ja do pracy nawyknięta, mama w domu gonili. W Babicach dziesięć hektarów było, już jako mała dziewczyna orałam. Pracy się nie boję. I powiem pani: las tu piękny, żal by było rzucać...

Jej mężowi, Stefanowi, też się nie spieszy. Jest o co w Borowcu powalczyć. Jako radny GRN przypomina uparcie o drodze. Ale kiedy finał — nikt nie wie.

Tytoń też trzyma. Robota przy nim ciężka. Przez cały rok prawie. Bo to najpierw wiosną w inspektach się sięje, potem sadzi, obrabia, nawozi, zbiera, suszy i sortuje, do lutego. Suszenie to sztuka. Żeby się ładnie zażółcił, a nie spalił, ludzie biegają co rusz do suszarni i pilnują temperatury. Pierwszej klasy nikt w Borowcu nie ma. Najwyżej trzecią, czwartą, piątą. W zeszłym roku placili siedemnaście tysięcy za metr. Jak będzie w tym roku — zastanawiają się. Co nowy rząd zarządzi? Tytoń dla Borowca to jedyny grosz. A tak? Trochę zboża się sieje, trochę kartofli; piach innych upraw nie przyjmie. Z tego i dzik się pożywi, i loszaj. Reszta dla ludzi.

Z łąk jest siano. Ale krów we wsi nie za wiele. Nie oplaca się. Nie ma drogi wyjazdowej i dla mleka. Nawet z Zamchu nikt nie chce odbierać. A trawa piękna.

Wołoszynowie wyjeżdżają. Do dzieci, do Biłgoraja. Do willi. — Mamili ludzi, że tu pegeer będzie. Rybny. Pstrągi dla RFN. Bloki mieli dla ludzi stawiać. Na siedemdziesiąt piąty rok wyznaczyli początek produkcji. Cośmy mieli oborę stawiać, to inżynierzy mówią: „Nie stawiaj, panie Wołoszyn, bo tu wszystko staw zaleje”. Ludzie liczyli na ten staw. I że miasto tu będzie. Wczasowisko. Ale zrobili nowe województwa i człowiek na lodzie został się.

Potem człowiek o maszyny starał się — wtrąca Wołoszynowa. — W gminie z listy ciągle w dół przesuwali. A człowiek tyrał. Ja zdawała po dziesięć metry żywca, bekunu suchego po trzydzieści metry... Jakby tak każdy w Polsce pracował, to by bieda nie było — uderza się w piersi. — Dzieci takie same mamy robotne. Zosia i Henryk po milionie za jagody zarobili w tym roku. Dom se wybudowali w mieście. I zabrali się. To co my tu będziemy siedzieć? Pięćdziesiąt lat po wojnie, a tyko drogi zrobione! Kto to widział?! Borowiec zawsze na końcu. Jak za karę. Światło, pani, to nam dopiero w siedemdziesiątym drugim pstryknęli. Kto przyjechał, to się dziwił: „Jak wy możecie tak po ćmoku siedzieć, w lesie...” Nie ma sprawiedliwości.

Był u nas telefon. Jedynę połączenie z gminą — mówi dalej Aleksander. — Psuł się, więcej był nieczynny, ale był. To przyjechał pan z Warszawy, szycha jakaś, do swojego brata, i telefon nam zabrali. Do tego brata przeniesli. A on stary, to kto będzie odbierał?!

... a teraz i telefon, i traktor, cośmy go wreszcie kupili, niepotrzebne... Ziemia rozpisana na dzieci, przyjedzie się z miasta na wiosnę, obrobi...

Jest w tych słowach jakiś żal.

Jakby inny świat nastał — dumają stare kobiety w Borowcu. — Machorę ludzie sadzą, to ktoś niektoś grosza uściubi. Zagnane wszystko, drugiego nie widzi. A tyko nas jest. Dziesięć rodzin. Jak się na wesele pójdzie, to jak na pogrzeb. Wódki, kurde, całe stoly, ale cichutko. Nikt nie zaśpiewa.

Ewa Czerwińska

LISTY

W kwestii ukraińskiej

Wyrzawkowe publikowanie listów, artykułów, głosów w dyskusji, dotyczących sprawy ukraińskiej, wskutek nieodmówień, uogólnień, pominięć faktów powoduje rozdrażnienia, wzmagania pretensje, żale i wrogość, a opinię polską wprowadza w błąd i dzieli na nadgorliwców w przebaczeniu, samoszkalujących się bi-czowników, nieprzejednanych, pokrzywdzonych, a co gorsza — zapamiętałe dążących do porozumień obrazających godność narodową i niewinnie pomordowanych. Podobna sytuacja ma miejsce po drugiej stronie. Byłem we Lwowie i na Wołyniu i nie ujawniając się „narodowościowo”, rozmawiałem z przygodnie poznanymi Ukraińcami, przysłuchiwałem się wiecującym pod złotoniebiską flagą z „tryzubami” w klapach we Lwowie i utwierdziłem się w przekonaniu, że istnieje różne orientacje, ale przeważa nacjonalistyczna, antyrządztwa, niewołna od rozseceń terytorialnych do przemysłowego, zamojskiego, chelmskiego i Podlasia.

W tej sytuacji konieczna jest dyskusja-polemika między wszystkimi stronami i wszystkimi orientacjami, dyskusja obejmująca wszystkie zagadnienia w ustalonej kolejności, byśmy się trzymali tematu, a nie „ostrzeliwali ogniem nekającym”. Spodziewam się i namawiam do ostrych rozmów, bo to tylko może doprowadzić do rozwiązania problemu. Wytykajmy, udawadniajmy i wykrzyżujmy się, aż dojdziemy do załatwienia sprawy, a przyszłe ty sięćlecie przeżyjemy — jak? Nie wiadomo, ale na pewno inaczej. Inaczej niż pierwsze, które rozpoczęła „dyplomatyczna” rozmowa Jarostawa z Bolesławem Chrobrym, gdy stanęli naprzeciw siebie nad Bugiem: „Chodź tu na ten brzeg, a rozpruję brzuch twój tłusty” (według kroniki Nestora — cytuję z pamięci).

Proponuję więc następujące zagadnienia do dyskusji. Jako pierwsze — rozszerezenia terytorialne: a) w świetle badań archeologicznych, b) w świetle migracji ludności, spowodowanej koligacjami Rurykowieców z Piastami, i następnie historii rodów możnowładców na terenie Polski i Rusi i ich przemieszczaniami, c) w świetle powiązań kulturowych i zasięgów.

Następne tematy to: chmielnicyzna, czasy pańszczyźniane, cerkiew unicka a prawosławie, rusyfikacja-ukrainizacja, polonizacja, a także uprawosławianie, świadomość narodowa, narodziny nacjonalizmu ukraińskiego — OUN, ruch petlurowski. Sytuacja Ukraińców w okresie międzywojennym — działalność nacjonalistyczna, komunistyczna, pacyfikacja, kolonizacja. Stosunki między mniejszościami narodowymi, także obecnie. Sprawa ukraińska w okresie II wojny światowej: ruchy migracyjne dobrowolne i wymuszone, losy narodu ukraińskiego w świetle układu Molotowa — Ribbentrop, działalność UPA i OUN. Postawa Ukraińców powojenna, udział w umacnianiu władzy ludowej, migracja, wywózki, przesiedlenia. Polityka — stosunki polsko-ukraińskie na zachodzie Europy.

Spodziewam się, że „Relacje” udzielił szpalt swoich na tę dyskusję i nad tą dyskusją będą czuwały.

Włodzimierz Dębski

(ten z obrony Kościoła Kisielińskiego opisanej w „Czerwonych Nocach”)

NAKŁADEM wydawnictwa „Osso-lineum” ukazała się na rynku księgarskim nieprzeciętnej miary książka zatytułowana „Ludy dalekie a bliskie” (Wrocław 1989). Jej autor Antoni Kuczyński — etnolog i socjolog — może poszczycić się sporym dorobkiem piśmienniczym w zakresie historii polskich badań nad kulturami ludowymi i plemiennymi świata.

Jedną z wcześniejszych jego pozycji wydawniczych nosi tytuł „Syberyjskie szlaki” (Wrocław 1972). Udział Polaków w poznawaniu Syberii oraz zagadnienie ich wkładu w badania kultury syberyjskich tubylców — to zasadniczy przedmiot naukowy zainteresowań A. Kuczyńskiego. Omawia on ten temat w swoich publikacjach na łamach pism specjalistycznych, takich jak: „Etnografia Polska”, „Przegląd Historyczny”, „Lud”, „Przegląd Polonijny” i inne.

Antoni Kuczyński w wydanej obecnie książce „Ludy dalekie a bliskie” przedstawił — jak czytamy w słowie wstępnym — „szeroko rozumianą panoramę kultury ludów zauralskich”. Obraz tej właśnie kultury wyłania się w pełnym świetle z przytoczonych tam relacji Polaków, którzy w XIX wieku pod zaborem caratu — w związku z powstaniem narodowymi — zagnani zostali na „rozległe obszary syberyjskie”.

Na obcej ziemi nie byli oni blernymi jej mieszkańcami. Dokonywali czynów niekiedy nadzwyczajnych. Potrafili współżyć z ludami, które należały do różnych grup językowych, takimi

SYBERIA—ZIEMIA NIEOBCA POLAKOM Stanisław Bubień

jak: Itelmeni, Niwchowicze, Czucze, Ewenkowie, Buriaci, Jakuci, Jukagirzy i inni. Wygnańcy polscy łączyli się w swojej niedoli z ludźmi, z którymi przyszło im żyć, byli im użyteczni, często stawali w ich obronie wobec grabieżczej polityki władz carskich, niesli tubylcom pomoc lekarską, przyczyniali się do rozwoju miejscowej gospodarki i osadnictwa.

Przed wszystkim zaś — obok działalności cywilizacyjnej i humanitarnej wśród ludów Syberii — nabywali Polacy doświadczenia życiowego, obcując z autochtonami.

Wszystko to, co było ich udziałem w latach przymusowego pobytu na obcej ziemi — tak zniechęcającej przez swą izolację i pozostawienie w kraju — owocowało przecież wartościami wyższego rzędu, niż samo tylko poddanie się losowi wygnańców. Właściwie ich ustosunkowanie się do życia i otoczenia, znalazło swój wyraz w stworzonej przez nich samych literaturze, mającej charakter źródłowej dokumentacji. Wielu Polaków, spędzając długie lata na zsyłce, zostawiało bowiem po sobie — jako plon własnych badań i spostrzeżeń — opisy etnograficzne, cenne z punktu widzenia historycznego, a więc: diariusze, wspomnienia, listy z podróży, artykuły publikowane w różnych czasopiśmie, a nawet monografie.

Poczet autorów tego gatunku piśmiennictwa jest liczny. Wymieńmy wszakże najbardziej znane w tym względzie ich nazwiska. Oto one: Józef Kopeć (1762—1827), Agaton Giller (1831—1887), Benedykt Dybowski (1833—1930), Bronisław Piłsudski (1866—1918) — rodzony brat Marszałka.

Spośród wielu, Antoni Kuczyński zaprezentował w swojej książce czternaście tych, których odpowiednio dobrane teksty złożyły się na ciekawą w swym układzie analogię. Pracę swoją zaopatrzył w obszerny, własny komentarz o zasięgu badawczo-naukowym. Całe zaś jej otocze typu źródłowo-informacyjnego (przypisy, bibliografia, słownik etniczny, mapy) podnosi wartość użytkowo-popularyzacyjną dzieła.

Rzecz powinna bezwzględnie znaleźć się w rękach kulturalnego ogółu; jest to bowiem, mówiąc słowami wstępu, „na polu realistycznym, na polu baśniowo-wręcz opowieści, ukazująca także zmagania z przeciwnościami losu, jakie stały się doświadczeniem autorów tych opisów”.

W każdym razie kultura wzbudziła z pewnością głębsze refleksje w umyśle tych czytelników, co to skrupulatnie poszukują przykładów narodowego heroizmu na kartach rodzimej naszej biografistyki. Nie zawsze mianowicie uświadomiamy sobie, na czym polega wielkość charakteru tzw. Sybiraków, którzy w epoce minionej i aż po czasy dzisiejsze wykazywali w ciężkich warunkach swego bytowania wprost wyjątkowy hart ducha i woli. Ich bohaterstwo nie ponosi najmniejszego uszczerbku na skutek naszej o nich niewiedzy, natomiast my sami z własnej winy stajemy się ubożsi, zaniedbując lekkomyślnie intelektualne i duchowe współzycie z nimi.

Goście Wilno

MIEDZY OSTRA BRAMĄ A OSTRYM FELIKSEM

Henryk Makarski

MATKĘ Ostrobramską widać z daleka, poprzez rozjarzone słońcem prostokąty szybek. Sniadolica (Madonna patrzy w milczeniu z wysokości śnieżnobiałej Bramy Miednickiej (1514 r.), zwanej też Ostrą (lit.: Auszros), jedynej ocalałej bramy w obronnych murach starego Wilna. Matka Litościwa patrzy z bramnej kaplicy na wspólny ciąg trzech ulic (Zamkowa — Wielka — Ostrobramska), noszących do niedawna oficjalne przezwisko: Gorkiego. To tędy gnali powstańców 1863 roku. Tędy 25.X 1824 r. odjeżdżał na wygnanie Adam Mickiewicz, by już nigdy do Wilna nie wrócić. To tu, w uniwersyteckim kościele św. Jana, długo organistował Stanisław Moniuszko. Ten sam, którego wileński pomnik był po II wojnie wielokrotnie bezczeszczone, przewracany; ostatnio nieznanymi sprawcy kamieniami odtrącili mu nos i rozbili brodę.

Na przedwojennej fotografii wierni klęczą niekończącym się rzędkiem na wyszczerbionym chodniku, wzdłuż ulicy. A dziś pustawo. Tylko staruszek, jak dawniej, czekają na kopiejkę turystów. Już nie ze świecami z czystego wosku o rzadko spotykanej barwie lipowego miodu, ale z fotograficznymi odbitkami Matki Ostrobramskiej, po półtora rubla za sztukę.

— Matce, teściowie, żonie... — wylizczam w myślach i daję 5 rubli za trzy błyszczące fotografie, z reszty rezygnuję: pół rubla ofiary — to cena mojej fantazji, wzruszenia, czy ja wiem czego jeszcze? I staje się coś, co dla mnie czymś dziwnym: schludna staruszka o smutnych oczach całuje mnie w rękę i gładzi po sercu słowami niezbyt zrozumiałych błogosławieństw... Niebo jaśnieje i kraśnieje...

Odwracam głowę w lewo. W pokarmelickim kościele św. Trójcy kończy się właśnie nabożeństwo w języku polskim. Wysypują się stare kobiety w przenoszonych paltach, modnie w średnim wieku i gdzieś tam nastolatki, uczesane i ubrane według europejskich żurnali. Z boku kościoła — niepozorne drzwi, którymi wchodzimy do wąskiego korytarza galerii, łączącej kościół z bramą-kaplicą. Kolana staruszek tłoczą się pod górę, na wąskim zbrozu schodów wyslizganych ludzką nadszycia. Liczę stopnie. 40 czy 44? Czterdzieści i cztery, czterdzieści i cztery... Duch Adama mać poczucie rzeczywistości. Bo chociaż na twarzy Wilna widać elegancję polskich rysów, to miasto ubrane jest po litewsku. Pokłękłe kobieciny strofują nas litewskimi słowami, kiedy przedzieramy się zbyt śmiało, coraz bliżej kaplicy. Msza też odprawiana jest w języku kniazia Witolda. W kaplicy wciąż srebrzyście od wotywnych serc, ale pousuwano już z nich tabliczki z napisami: „Boże, dzięki ci za polskie Wilno”. Cóż, to już litewskie miasto, taka jest prawda.

Na twarzy Madonny Ostrobramskiej nie widać rysów ani polskich, ani litewskich. Jej delikatne piękno — z egzotycznego Wschodu jest. Ciemna, skłoniona twarz, czarne szczuple dłonie, w których nie ma dziecka, a tylko skrzyżowana bezradnie pokora. Cała w złotych szatach i koronie, zarazem tchnie skromnością. Jest bliska wiernym dosłownie i w przenośni, dostępną w maleńkiej kaplicy na wyciągnięcie ręki, bez pancernych szyb Luw-

ru, bez wysokiego i dalekiego dystansu Częstochowy. Mater Misericordia (Matka Litościwa), smągła Madonna ze złotym półksiężycem na całej szerokości dolnej części obrazu...

Skąd przybyła, w czyjej wyobraźni, kto i kiedy ją namalował? Jej powstanie intryguje mnie, jak wszystko, co nie jest jednoznaczne. Rozbieżność opinii w tej mierze jest ogromna.

Najdzielniej byłoby unieść się patriotyzmem i uwierzyć polskim historykom sztuki, którzy twierdzą, że obecnie zachowany obraz został namalowany przed rokiem 1650 przez Łukasza z Krakowa, specjalizującego się w tworzeniu wizerunków Madonny bez Dzieciątka Jezus.

Przeciw tej hipotezie świadczy jednak zastanawiająca powściągliwość Litwinów, tak skłonnych przecież do lituanizowania polskich twórców. Otóż litewscy eksperci uważają, że obraz jest dziełem nieznanego artysty z epoki Renesansu, który na ośmiu sklejonych ze sobą deskach dębowych uwiecznił wizerunek wileńskiej mieszczki. Pogląd ten nie jest pozbawiony prawdopodobieństwa, bowiem w wielonarodowościowym odzianiu Wilnie znalezione ciemnoskórej modelki nie nastroczało zapewne trudności.

Badacze rosyjscy twierdzą natomiast, że obraz został namalowany na dwóch deskach dębowych, i to znacznie wcześniej, bowiem pojawił się w Wilnie w XIV wieku, w czasach, gdy książę litewski Olgiard wojował z krymskimi Tatarami i grabił ich mienie. Obrazy święte też.

Obraz został podarowany zakonowi św. Trójcy, który graniczył z Ostrą Bramą, a później przejęty przez zakon Karmelitów. Bracia pustelni Troickiej umieścili obraz we wnęce bramy, od strony wjazdu do miasta. W czasie niepogody wnękę zastaniano drewnianymi okiennicami, ale nie stanowiły one, widać, skutecznego zabezpieczenia przed deszczem i kurzem, mrozem i skwarem, skoro stan obrazu pogarszał się do tego stopnia, że dolną jego część musiano skrócić o blisko 20 cm (obecne rozmiary: 200 × 163 cm).

Zbudowano więc na bramie drewnianą kapliczkę, do której obraz w 1671 roku przeniesiono. Z czasem poniżej pierwszej korony umieszczono tu drugą i tak powstało połączenie korony królewskiej z mitrą Wielkiego Księstwa Litewskiego. W 1715 roku drewniana kaplica spłonęła, ale obraz cudownie ocalał. 1726 zbudowano nową kaplicę, murowaną, a nad jej środkowym oknem umieszczono złocony napis po łacinie: „MATER MISERICORDIA! SUB TUUM PRAESIDIUM CONFIGIMUS” („Matko Miłosierdzia! Pod Twoją obronę uciekamy się”).

Z czasem w kaplicy pojawiają się wota, a obraz zostaje przykryty srebrną (złożoną w ogniu) sukienką. Suknia, unikalne dzieło ręcznej sztuki złotniczej, pokryta jest bogactwem drobnych, precyzyjnie wykutych róż i goździków, tulipanów i krokusów; osłania cały obraz z wyjątkiem twarzy i rąk.

Przed uroczystą koronacją, która odbyła się w roku 1927 za zezwoleniem papieża Piusa XI, wykonano renowację obrazu. Ujawniono wtedy na okry-

ciu głowy N. M. Panny dziury po gwoździach, którymi srebrna suknia była przybita do obrazu... Brak wyobraźni ówczesnych rzemieślników? Podczas renowacji wycięto odpowiednią do wielkości obrazu, ochronną przeciwpożarową kasetę metalową z otworami w miejscu rąk i twarzy, no i dopiero na tę kasetę nałożono srebrną suknię. Tak oto cenny obraz zabezpieczono podwójnym przykryciem. Nie jest to przesadna ostrożność, jeśli zważyć, że to cenne dzieło anonimowego mistrza Renesansu przechodziło różne koleje losu i trudno zagwarantować mu bezterminową łaskawość...

W roku 1812 kościół św. Teresy żołnierze francuscy zamienili na kwatery i magazyny. Efekt: pokruszone ołtarze, podziurawione i poszarpane obrazy, podniszczona kaplica Ostrobramska. Bez względu na historyczne rykoszety, to niewielkie sanktuarium (ledwie 8 m szerokości) cieszyło się zawsze niebywałym szacunkiem mieszkańców Litwy.

W roku 1785 Główny Trybunał Wielkiego Księstwa Litewskiego wydał dekret, zobowiązujący ludność katolicką i niekatolicką do zachowania powagi i zdejmowania czapek podczas przechodzenia przez Ostrą Bramę. W czasie trwania nabożeństw handel zabroniony był na ulicy pod groźbą odpowiedzialności sądowej. Rząd carskiej Rosji utrudniał katolikom uprawianie kultu Matki Boskiej Ostrobramskiej, ale mimo to w drugiej połowie XIX wieku frekwencja w kaplicy była coraz większa. Wzbudzało to szacunek przybyszów.

Oto, co pisał Teodor Tripplin w „Dzienniku podróży po Litwie i Żmudzi odbytej w 1856 roku”: „Ani w całej Hiszpanii nie widziałem nic świętszego, nic piękniejszego, rzewniejsze uczucie, wzniolejszą myśl wzbudzającego, jak Kaplica Ostrobramska. Ugiąłem swoje dumne kalwińskie kolana przed świętością wiernych braci Litwinów. [...] Nabożeństwo odbywające się przed obrazem Bogarodzicy Ostrobramskiej zdumiewa wspaniałością i nadzwyczajną rzewnością przedstawia widok [...] W powietrzu tej ulicy drga jakiś urok świętości, odbijający się wyrazem bogobojnej skruchy na każdej twarzy. Każdego człowieka z sercem ogarnia to uczucie, nawet gdyby był różnowiercą [...]”

W latach powstań narodowych Ostra Brama była jednym z głównych ośrodków manifestacji religijno-patriotycznych...

Jest maj 1989 roku. Ksiądz intonuje litanie i co kilka sekund słyhać monotonnie: „Módl się za nami”, po litewsku. Modlą się tutaj prawie same kobiety. Czy chcą nadrobić wielowiekową dyskryminację, trwającą do roku 1844 zakonnym zakaz wpuszczania kobiet do kaplicy, należącej wówczas do zakonu Karmelitów? A może to symbol pewnych nieodwracalnych przeobrażeń socjologicznych w tej części świata?

Schodzimy na ziemię. Z uchylonych okien XV-wiecznej kamieniczki sęczy się muzyka Beatlesów. Staruszka liczy kopiejkę...

(Koniec odcinka 1. — cdn.)

W DNIACH 2-10 września odbyły się X Zamojskie Dni Muzyki. Alicji Dolinie-Oszast (kierownictwo artystyczne) i Stefanowi Sudakowi (kierownictwo organizacyjne) udało się przygotować i przeprowadzić bez potknięć festiwal, który stał się wizytówką zamojskiego życia kulturalnego w nie mniejszym stopniu, niż Lato Teatralne czy spotkania wokalistów jazzowych. Nie jestem pewny, czy wiedzą o tym ojcowie miasta i województwa, bo na koncertach ich nie spostrzegłem (poza życzyliwie patronującą festiwalowi dyr. Zofią Pilat z Wydziału Kultury UW) — niniejszym więc informuję. Impreza o małym budżecie, organizowana przez cztery — dosłownie — osoby, dopracowała się w ostatnich latach rezultatów zasługujących na wyższe uznanie, niż wiele przedsięwzięć charakteryzujących się czysto zewnętrznym rozmachem.

Na inauguracyjnym koncercie w Kolegiacie zamojskiej wystąpiły dwie orkiestry. Istniejąca od z górą stu lat Polska Orkiestra Włosciańska im. Karola Namysłowskiego przedstawiła prawykonywanie *Mszy do Najświętszej Maryi Panny* Wojciecha Słoczyńskiego, opracowanej w skróconej wersji — jednak z zachowaniem ordinarium missae — na solistów, chór i orkiestrę przez dyrektora POW, Józefa Przytułę. Utwór ten, zachowany w kopii sporządzonej z XIX-wiecznego rękopisu klasztoru w Gidlach, oparty jest w przeważającej części na autentycznej melodyce ludowej. Soliści (Irena Dużyńska, Elżbieta Kozyra, Marian Hoduń, Stanisław Kondrat), kwartet spełniający rolę chóru, orkiestra i dyrygent Józef Przytuła przygotowali się bardzo starannie: intonacja, artykulacja, barwa musiały budzić wysokie uznanie. W drugiej części wieczoru za pulpitem dyrygenckim stanął Adam Natanek, aby poprowadzić Filharmoników Lubelskich w repertuarze barokowym. Refleksyjność i umiejętnie podkreślony emocjonalizm *Arii na strunie G* przygotowały nastrój dla dwóch koncertów na dwoje skrzypiec: *d-moll* Bacha i *A-dur* Vivaldiego, w których Polskie Duo Skrzypcowe (Jolanta Siry-Osmolińska i Ryszard Osmoliński) trafnie wyeksponowało zarówno element technicznego popisu, jak i miękkość nastrojowej kantyleny.

Równie okazałe wypadło zamknięcie festiwalu — *Mesjasz* Haendla pod batutą Stanisława Galańskiego. To monumentalne, fascynujące dzieło, które dotyka najważniejszych zagadnień chrześcijaństwa, wymaga od solistów wielkiej koncentracji i pewności w prowadzeniu frazy, a od chóru i orkiestry precyzji — tym większej, że Capella Cracoviensis jest zespołem niezbyt liczny i nie może w razie potrzeby bronić się, jak duże orkiestry i chóry, potęgą brzmienia tuszującą niedokładności. Klaudia Cieślak (sopran), Maria Seremet (mezzosopran), Marek Krzywoń (tenor) i Józef Frakstein (bas), chórzyci i instrumentalści stworzyli kreację wysokiej próby.

Zapoczątkowana przed rokiem praktyka łączenia baletu z muzyką kameralną zaowocowała uroczym wieczorem, na który złożyły się cztery adagia (Adam Czajkowski), wymagające od tancerzy nie tylko nieskazitelnej techniki, ale iście aktorskiego „wnętrza”, subtelności i eteryczności. Soliści warszawskiego Teatru Wielkiego stanęli na wysokości zadania — szczególnie Daria Dadun, Beata Nowińska i Łukasz Gruziel. Doskonałym dopełnieniem dla baletu był występ Tria Fortepianowego Filharmonii Lubelskiej (Maria Świeca — skrzypce, Maria Błaszczak — wiolonczela, Corelli Świeca — fortepian), które w miniaturach Chopina i Rimskiego-Korsakowa przybliżyło słuchaczom nastrój romantycznego salonu. Wieczór muzyki i poezji wypełniły pieśni Karłowicza, Szymanowskiego i

Paderewskiego (mistrzowskiej interpretacji Danuty Damięckiej towarzyszył przy fortepianie Mieczysław Dawidowicz) oraz wiersze Czesława Miłosza, ułożone w logiczną, spójną sekwencję o niezwyklej sile oddziaływania, które porywająco recytował Krzysztof Kolberger (na gitarze akompaniował mu Michał Nagy). Krakowski duet „Il incendio iberio” (Waldemar Zaborski i Andrzej Modrzejewski) przedstawił bogaty, wysmakowany program dawnej i współczesnej muzyki gitarowej — od Vivaldiego przez Granadosa, Albeniza i Tarregę po Morela i Cardoso. Bogusław Kaczyński zaprezentował jeden ze swoich programów autorskich, poświęcony Janowi Kiepurze i Marcie Eggerth. Dwa kolejne interesujące koncerty odbyły się w murach Kolegiaty: Jerzy Erdman wykonał mniej znane polskie kompozycje organowe (Raszer, Surzyński, Nowowiejski), a znakomity kwartet smyczkowy „Wilanów” (Tadeusz Gadzina — I skrzypce, Paweł Łosakiewicz — II skrzypce, Ryszard Duż — altówka, Marian Wasiółka — wiolonczela) porwał słuchaczy interpretacją wspaniałego *Kwartetu a-moll* Brahmsa oraz utworów Schuberta i Wł. Słowińskiego. Na skutek niedyspozycji solisty nie doszedł tylko

JUBILEUSZ - I CO DALEJ?

Stefan Münch

do skutku recital Andrzeja Hiolskiego; zastąpiła go wiazanka pieśni, arii i duetów operetkowych (Danuta Damięcka, Bolesław Hamaluk i Mieczysław Dawidowicz przy fortepianie).

W TYM miejscu należało by postawić kilka pytań. Czy Zamojskie Dni Muzyki mają wyrazistą — i przestrzeganą w praktyce — formułę programową, czy też jawią się obserwatorowi jako seria przypadkowych raczej wydarzeń artystycznych? W jaki sposób jest odbierany przez środowisko i jakie zajmuje miejsce wśród zamojskich inicjatyw kulturalnych? Jakie ma szanse w dającej się przewidzieć przyszłości?

Cudowne rozmnożenie imprez typu festiwalowego osiągnęło swoje apogeum w schyłkowej fazie tzw. „dekady dynamicznego rozwoju” (nic dziwnego, że zgodnie z prawem natury obserwujemy się teraz tendencje likwidatorskie). Jest to wdzięczny temat do rozważań z zakresu socjologii życia kulturalnego w PRL. W szczególności nowo powstałe po reformie administracyjnej województwa wykazały godną uwagi pracowitość w organizowaniu festiwali i nietawo dziś ustalić, kiedy wynikało to z autentycznych potrzeb środowiska, kiedy zaś działał mechanizm kompensacyjny (chęć przyswojenia sobie atrybutów metropolii). Mimo to można przeprowadzić dowód empiryczny: dostarcza go publiczność, jej obecność lub brak, a także uchwytne sposoby dokonywania przez nią wyboru repertuarowego. W trakcie Zamojskich Dni Muzyki największym zainteresowaniem cieszył się koncert inauguracyjny, zamykający festiwal *Mesjasz*, wieczór pieśni i poezji oraz występ duetu gitarowego — wszystkie odbyły się przy kompletach pu-

bliczności. Wielu słuchaczy przyciągnął balet i kwartet smyczkowy. Na przeciwnym biegunie znalazł się monodram Bogusława Kaczyńskiego i program operetkowy. Sam pomysł monologu ilustrowanego nagraniami, na temat skądinąd dobrze znany melomanom, wydaje mi się dosyć ryzykowny, jeśli nie idzie w parze z umiejętnością nawiązywania kontaktu z publicznością. Słuchaczy nie zadowalała przecież sama przyjemność obcowania z wybitnym znawcą przedmiotu, który dzięki telewizji był częstym gościem w naszych domach, osobliwie wówczas, gdy gmach przy ulicy Woronicza nie był miejscem chętnie odwiedzonym przez krąg artystyczny. W drugim przypadku stosownie byłoby koncert odwołać, niż narażać wykonawców na despekt śpiewania po pustej sali. W moim przekonaniu zamojski festiwal dochował się już swojej publiczności, która nie tai swoich preferencji i potrafi odróżnić ziarno od plew, docenić estetyczny zamysł programu i jakość wykonania.

Formuła repertuarowa pozostaje zawsze kwestią najbardziej dyskusyjną. Pokusę festiwalu monograficznego (np. jeden kompozytor, jedna epoka określony gatunek) należy w przypadku Zamościa odrzucić. O wiele rozsądniejsza wydaje się przyjęta przez Alicję Dolinę-Oszast koncepcja zaprezentowania różnych form — oratorium, koncert instrumentalny, kameralistyka, balet, recital pieśni, poezja — potwierdzona zresztą frekwencją na koncertach.

TEGOROCZNA impreza borykała się od początku z trudnościami finansowo-organizacyjnymi. Jej skromny budżet został nieoczekiwanie uszczuplony (w imię racji wyższych), co w obliczu falowych podwyżek cen postawiło festiwal w trudnej sytuacji. Nie udało się wydrukować jubileuszowego plakatu, zabrakło komunikatywnej i pomyslowej (jak w poprzednich latach) reklamy wizualnej, a program pod względem graficznym nie wspominając o papierze, okazał się na poziomie biuletynu informacyjnego berdyczowskiego ispolkomu z pierwszych lat władzy bolszewickiej. Zapewne resortowi kultury nie przelewa się („z próżnego i Salomon nie naleje”, jak mawiał nasz niezapomniany przywódca z lat sześćdziesiątych — uwaga Pani Korektorko, proszę nie poprawiać imienia!), ale... w tym miejscu nie od rzeczy będzie przypomnienie nieodległej przeszłości.

Przed rokiem obserwowałem koncerty „Włoskiej Jesieni w Zamościu”. W ciągu siedmiu dni odbyło się kilka wartościowych imprez zorganizowanych przez Krajowe Biuro Koncertowe, wystąpił też: BAJM, Majka Jezowska, Zbigniew Wodecki, piosenkarze włoscy (dalszy garnitur) — wieczorem na Rynku, przy kolorowych światłach; słowem, „wypuszczamy dymy i równo sadzimy”, jak śpiewał Franek Kimono. Były odczyty, wystawy, pokaz mody, „Italo-disco”, kurs języka włoskiego (sześciogodniowy — przyspieszony). Zorganizowano konkurs piosenki włoskiej, chyba dla znajomych, bo o eliminacjach jakoś się nie słyszało. Organizatorzy zadabali też o plakaty, programy, autobusy festiwalowe, a nawet identyfikatory dla uczestników (zachowałem jeden na pamiątkę). Trudno oprzeć się wrażeniu, iż możliwości organizacyjne i entuzjazm sponsorów niebezpiecznie wyprzedziły możliwości artystyczne.

W przyszłym roku, jak wieść niesie, planowana jest kolejna edycja „Włoskiej Jesieni”, o ile znany sentyment prof. Krawczuka do Italii podzieli jego następczyni na urzędzie ministra. Natomiast Zamojskie Dni Muzyki odbędą się za dwa lata. Jeżeli się odbędą.

LISTY

„Anarchiści» na diecie”

Z dużym zaskoczeniem przyjąłem zamieszczoną w nr 32 „Relacji” wypowiedź publicysty ukrywającego się pod literkami (kow). Zaskoczeniem wywołany nie tyle polemicznym charakterem artykułiku, ile nieco archaicznym stylem jego autora. Zgodnie z klasyczną regułą — w wypowiedzi pojawia się dość obszerne (objętościowo, nie merytorycznie) wprowadzenie, następnie autor przedstawia swoje poglądy, niestety niesprecyzowane, bowiem prezentuje dwa stanowiska całkowicie ze sobą sprzeczne. Ale może nawiąże do struktury artykułiku.

Zastrzeżenia należy mieć już do części wstępnej, daleka jest ona od obiektywnego przedstawienia problemu, wywołuje ma natomiast negatywne nastawienie u czytelnika.

Czegoż dowiadujemy się o podmiocie (podmiotach) wypowiedzi? Zamiast skorzystać z powszechnej dostępności środków masowego przekazu, młodzież zaniecyszcza miasta plakatami i ulotkami. Następnie zakłada normalny tok urzędowania Bardzo Ważnej Osobistości, wreszcie pozwala sobie podjąć głodówkę w miejscu publicznym, uniemożliwiając obywatelom kontakt z prusą codzienną.

Autor zapewne fakty te skonfrontował z opiniami samych zainteresowanych, bo udało mu się stwierdzić u nich nieznajomość historii ruchu anarchistycznego i nazwisk jego teoretyków.

Zadziwiające jest to, że w swej rzetelnej pracy dziennikarskiej nie ustalił faktu nikłego zainteresowania władz miasta akcją „anarchistów” (cudzystów autora artykułu), zanim podjęli oni głodówkę. O dziwo, nie stwierdził udziału w proteście członków ruchu WiP oraz NZS. Czyżby o nich — ciższa w publikacjach? Odrza autoru to jakby relikw z innej epoki, choć zapewne jest on zwolennikiem demokracji, wolności osobistej i swobody wypowiedzi, tylko że na miarę swoich mizernych wyobrażeń.

Wreszcie sprawa podjęcia głodówki w miejscu publicznym i z tak nikłego powodu, jak żądanie możliwości tworzenia własnej kultury, nie określonej załącznikiem ministerstwa. Powód to rzeczywiście mierny, ponieważ istnieją państwowe instytucje kulturalne, znające potrzeby społeczne, dysponujące funduszami z budżetu państwa, zapewniającymi realizację wszystkich celów polityki kulturalnej i zaspokojenie zapotrzebowania ludu pracującego miast i wsi w tej dziedzinie. Tyle tytułem faktów zawartych w artykule.

Jeśli chodzi o poglądy w nim zawarte, to oscylują one między polityką kulturalną Chin w czasach Przewodniczącego Mao a liberalizmem godnym zginiętych demokracji europejskich. Naszego szanownego żurnalistę razi

nieznajomość korzeni anarchizmu wśród młodzieży, która gruntownie zapoznaje się z „współczesną” myślą społeczno-polityczną zarówno w szkole, jak i ze środków masowego przekazu oraz bogatej literatury polskojęzycznej z „Dzielnymi przebranjami” M. A. Bakunina na czele (wyboru dokonali i wstępem opatrzyli duchowi spadkobiercy tych, którzy likwidowali eserowców, mieńszewików i anarchistów, a potem walczyli z „frakcją” Lwa Trockiego w łonie partii bolszewickiej).

Wolalby on zapewne widzieć naszą młodzież domytą i uczesaną, ubraną w jednokolorowe, dzinsowe mundurki Made in Turkey, grzecznie bawiącą się w dyskotekach (organizowanych w ramach działalności kulturalnej instytucji państwowych, także ulubiona „działka” lubelskich klubów studenckich). Spragnionego widoku takiej młodzieży skierowałbym do kawiarni hotelu „Unia”.

Aby czytelnik nie popadł w depresję psychiczną, końcowy akcent wypowiedzi Pana (?) (kow) brzmi nutą optymistyczną — nasi milusińscy umyją się, przebiorą i wrócą do szkoły, by zdobywać wiedzę ku chwale socjalistycznej ojczyzny. Dziś robią to, by nie wyrzucono ich z „pryzwoitej” szkoły, jutro zamkną usta, by ocalić stanowisko, pozycję czy majątek.

Być może Pan (kow) nie wie, że w NRD czy CSRS podejrzane indywidua usuwa z ulicy milicja, a może właśnie na to liczy. Pozostaje Panu nadzieja, że u nas też do tego dojdzie, lecz radzę Panu zwrócić uwagę na przustawie, iż... „matka-nadzieja ma wiele dzieci”.

Zwracam Panu także uwagę, że nie wspominał Pan o bohomazach zdołanych plot naprzeciw KMPiK. Mijemy nadzieję, iż właściwe służby miejskie szybko przyobleką go we właściwy, seledynowy kolor i zaopatrzą w tak niezbędny napis „naklejanie zabronione”.

Wyrażam wiarę w to, że gdyby szczęśliwym zbiegiem okoliczności nasz kraj wrócił na drogę budowy ustroju doczesnej szczęśliwości, doceniony zostanie Pański wysiłek i otrzyma Pan odpowiadające Pańskim kwalifikacjom i zdolnościom stanowisko w jedynym słusznym organie prasowym jedynej słusznej partii.

Na wypadek gdyby zechciał Pan wiedzieć, z kim ma do czynienia, informuję, że mam przyjemność być punkiem i, jak mówi rodzina, anarchistą, a z podmiotami Pańskiego artykułu łączą mnie jedynie więzy sympatii dla ich poczynañ.

Łączę wyrazy szacunku dla Redakcji i przepraszam za przydługą formę wypowiedzi — ja w przeciwieństwie do Pana (kow) nie umiem tak krótko i dosadnie. Jego styl ma w sobie coś ze stylu Marszałka Piłsudskiego. Jednocześnie zwracam się z prośbą do Redakcji, by w przypadku nagłej ochozy opublikowania niniejszych wypowiedzi nie dokonywać „niezbędnych” skrótów bez autoryzacji z wyjątkiem tych opatrzonych znakiem [— — —] i dopiskiem Ustawa o kontroli...

Jacek Pączkowski
Lublin

W 1989 roku kilka czasopism radzieckich (a wśród nich „Wiek Dwadecy i Mir” nr 2) opublikowało słynną na cały świat proklamację laureata Nagrody Nobla, Aleksandra Sołżenicyna — prezentowanego obszernie na łamach „Relacji” w numerach: 20, 21, 22 i 23 — zatytułowaną „Żyt' nie po lży” („Nie żyć fałszem”). „Żyt' nie po lży” przygotowywał Aleksander Isajewicz w latach 1972—1973 i początkowo zamyślił ją jako wezwanie do kampanii ideologicznej niesubordynacji (zamiast niesubordynacji obywatelskiej). Później autor doszedł jednak do wniosku, że jest to zadanie przedwczesne i proklamacja przybrała formę apelu osobistego. Był on gotowy we wrześniu 1973 roku i został przewidziany do druku wraz z „Pismem do przywódców Związku Radzieckiego” („Piśmo woźdnam Sowietskogo Sojuza”). W związku z zastrzeżeniem sytuacji od stycznia 1974 roku (po opublikowaniu „Archipelagu Gułag”) odezwa została złożona w kilku tajnych miejscach, a autor wyraził zgodę na „puszczenie jej w obieg” w dobie po spodziewanym aresztowaniu. Stało się tak 13 lutego 1974 roku. Proklamacja „chodziła” w „Samizdacie” (nieoficjalne wydawnictwo, działające na zasadzie „przepisz to sam i podaj dalej, aby inni uczynili identycznie”) i włączono ją do „samizdackiego” zbioru.

Tekst ukazał się drukiem w Paryżu (YMCA-Press, 1975). Pierwsze wydanie należy jednak do „Daily Express” (Londyn, 12.02.1974).

Jako oryginał dla przekładu przyjmuję: A. Sołżenicyn, „Sobranije soczinienij”, Vermont — Paris 1981, t. 9, s. 168—172.

Jan Trochimiak

KIEDYS nie śmieliśmy nawet szepnąć zaszeleścić. Teraz oto piszemy i czytamy „Samizdat”, a już zebrałszy się w palarniach instytucji naukowo-badawczych, naskarżymy się wzajemnie od serca: jakżeż oni potrafili nabroić, dokądże potrafią nas pociągnąć! I niepotrzebne samochwalstwo kosmiczne przy spustoszeniu i ubóstwie domu; i umacnianie dalekich, dzikich reżymów; i rozpalenie wojen domowych; i nierozsądnie wyhodowali Mao Tse-tunga za nasze środki — i nas właśnie na niego pogonia i wypadnie iść, gdzie się podziemy? i sądzą kogo chcą, z zdrowych zagoniają jako umysłowo chorych — „oni” wszystko mogą, a my — jesteśmy bezsilni.

Już do denka dochodzi, już powszechna duchowa zagłada masunęła się na wszystkich i fizyczna lada chwila zapłonie i spali również nas i nasze dzieci — a my, jak dawniej, ciągle uśmiechamy się tchórzliwie i bełkoczymy niezdarnie:

— A czymże my przeszkodzimy? Nie mamy sił.

My tak beznadziejnie zatraciliśmy człowieczeństwo, że za dzisiejsze skromne koryto oddamy wszystkie zasady, swoją duszę, wszystkie wysiłki naszych przodków, wszystkie możliwości dla potomków — aby tylko nie zburzyć swej nędznej egzystencji. Nie pozostała w nas ani nieugiętość, ani duma, ani żar serca. My nawet powszechnej atomowej śmierci się nie boimy (może schowamy się w szczelince) — my tylko boimy się kroków cywilnej odwagi! Aby tylko nie oderwać się od stada, nie zrobić kroku w pojedynkę i nagle znaleźć się bez białych bułek paryskich, bez piecyka gazowego, bez moskiewskiego zameldowania.

Jak bardzo wbijali nam do głowy na zebraniach kótek politycznych, tak w nas wrosło wygodne życie, zawsze dobre; środowisko, warunki socjalne. z nich nie wyskoczy się, byt określa świadomość, a cóż nam do tego? my niczego nie możemy.

A my możemy wszystko! — lecz sami siebie oklamujemy, aby siebie uspokoić. Zadni „oni” są winni wszystkiego — my s a m i, tylko my! Sprzeciwiamy się, ale przecież niczego nie da się wymyślić! Nam zakneblowali usta, nas nie słuchają, nie pytają. Jakże zmusić ich, żeby posłuchali nas?

Skłonić ich do zmiany przekonań — nie jest możliwe.

Naturalne byłoby wybranie kogoś innego! — lecz wyborów innych nie ma w naszym kraju.

Na Zachodzie ludzie znają strajki, demonstracje protestu — ale my jesteśmy za bardzo zahukani, dla nas jest to straszne: jakże to nagle — zrezygnować z pracy, jakże to nagle — wyjść na ulicę?

Wszystkie jednakże inne, fatalne drogi, wypróbowane w ostatnim wieku gorzkiej historii rosyjskiej — tym bardziej nie są dla nas, i naprawdę — nie

trzeba! Teraz, kiedy wszystkie topory dorabiały się do swego, kiedy wszystko zasiane wzeszło — widoczne jest dla nas, jak zablądzieli, jak zaczęli się ci młodzi, zadufani, którzy zamierzali przy pomocy terroru, krwawego powstania i wojny domowej uczynić kraj sprawiedliwym i szczęśliwym. Nie, dziękuję, ojcowie oświecenia! Teraz to właśnie wiemy, że podłość metod rozplądza się w podłości wyników. Nasze ręce — niechaj będą czyste!

W ten sposób krąg się zamknie? I wyjścia — rzeczywistnie nie ma? I pozostaje nam tylko bezczynnie czekać: a nuż stanie się coś samo?...

NIE ŻYĆ FAŁSZEM!

Aleksander Sołżenicyn

Lecz nigdy ono od nas nie odlepi się samo, jeśli my wszyscy we wszystkie dni będziemy go uznawać, rozstawiać i umacniać, jeżeli nie odbijemy się chociażby od jego najbardziej czulego punktu.

Od — fałszu.

Kiedy przemoc wdiera się w spokojne życie ludzkie — jej oblicze płonie zarożumiałością, ona właśnie tak ma napisane na fladze i krzyczy: Ja jestem Przemoc! Rozejść się, rozstąpić się — rozgniotę! Lecz przemoc szybko się starzeje, niewiele lat — ona już nie jest pewna siebie i aby trzymać się, aby wyglądać przyzwoicie — obojętnie przykrywa do siebie, jako sojusznika Fałsz. Albowiem: przemoc nie ma się czym przykryć poza fałszem, a fałsz może utrzymywać się tylko przy pomocy przemocy. I nie każdego dnia, nie na każde ramię kładzie przemoc swą ciężką łapę: ona żąda od nas tylko uległości wobec fałszu, codziennego uczestniczenia w fałszu — i w tym jest cała wiernopoddajność.

I w tym to leży lekceważony przez nas, najprostszy, najbardziej dostępny klucz do naszego wyzwolenia: osobiste nieuczestniczenie w fałszu! Niechby nawet fałsz wszystko pokrył, niech fałsz rządzi wszystkim, lecz w najmniejszej sprawie uprzemy się: niech rządzi nie przeze mnie!

I to jest wycięcie w pozornym pierścieniu naszej bezczynności — najłat-

wiejsze dla nas i najbardziej niszczące dla fałszu. Bowiem kiedy ludzie odsuwają się od fałszu — on po prostu przestaje istnieć. Jak zaraza, ona może egzystować tylko na ludziach.

Nie wzywajmy się, nie dojrzelśmy, żeby wychodzić na placy i gromko głosić prawdę, wypowiadać w głos, co myślimy — nie trzeba, to straszne. Ale chociaż zrezygnujemy z mówienia tego, czego nie myślimy!

Oto właśnie jest nasza droga, najłatwiejsza i dostępna przy naszej przeorośniętej, ograniczonej tchórzliwości, o wiele łatwiejsza (strasznie wymówić) od obywatelskiej niesubordynacji, według Gandhiego.

Nasza droga: w niczym świadomie nie podtrzymywać fałszu! Uświadomiwszy sobie, gdzie jest granica fałszu (dla każdego jest ona jeszcze różnie widoczna) — odstąpić od tej gangrenowej granicy! Nie podklejać martwych kosteczek i łuszek Ideologii, nie zszywać zgnitych gałganów — i my będziemy tym zadziwieni, jak szybko i bezradnie fałsz opadnie, i to, co powinno być nagim — to jawi się światu gołym.

Tak więc poprzez naszą bojaźliwość niech każdy wybierze: czy pozostaje on świadomym sługą fałszu (o, ma się rozumieć, nie ze względu na skłonność, lecz dla utrzymania rodziny, dla wychowania dzieci w duchu fałszu!), albo przyszła na niego pora, aby otrząsnąć się, jako uczciwemu człowiekowi, godnemu szacunku swoich dzieci i współczesnych. I on od tego dnia:

— w przyszłości nie napisze, nie podpisze, nie wydrukuje w żaden sposób ani jednej frazy, wypaczonej — jego zdaniem — prawdę;

— takiej frazy nie wypowie ani w prywatnej rozmowie, ani w tłumie, ani od siebie, czy ze ściągawki, ani w roli agitatora, nauczyciela, wychowawcy, ani w roli teatralnej;

— w malarstwie, rzeźbie, fotografii, w technice, muzyce nie przedstawi, nie będzie wtórować, nie dokona translacji ani jednej fałszywej myśli, ani jednego zniekształcenia prawdy, którą rozróżnia;

— nie przytoczy ani ustnie, ani piśmiennie ani jednej „kierowniczej” cytaty dla pochlebstwa, dla asekuracji, dla sukcesu swej pracy, jeśli cytowanej myśli nie podzieli w pełni, albo jeśli ona nie dotyczy dokładnie tego;

— nie da się zmusić iść na demonstrację lub mityng, jeśli jest to przeciw jego życzeniu i woli; nie weźmie do ręki transparentu, hasła, którego nie podzieli w całości;

— nie podniesie głoszącej ręki za propozycją, której nie aprobuje szczerze; nie zgłoszę ani jawnie, ani tajnie za osobą, którą uważa za niegodną lub wątpliwą;

— nie da zagonić się na zebranie, gdzie oczekuje się przymusowego, sfalshowanego dyskusowania problemu;

— niezwłocznie opuści posiedzenie, zebranie, wykład, spektakl, seans filmowy, jak tylko usłyszy od mówcy fałsz, ideologiczną głupotę lub bezwstydną propagandę;

— nie zaprenumeruje i nie kupi oddzielnie takiej gazety lub czasopisma,

gdzie zniekształca się informacja, gdzie ukrywane są najistotniejsze fakty.

Wymieniliśmy, ma się rozumieć, nie wszystkie możliwe i niezbędne uchylecia się od fałszu. Lecz ten, który zaczyna oczyszczać się — oczyszczonym spojrzeniem łatwo rozróżni także inne przypadki.

Tak, początkowo nie będzie tak samo. Ktoś okresowo utraci pracę. Młodym, pragnącym żyć w zgodzie z prawdą, to bardzo utrudni ich młode życie na początku: wszak i odpowiadające lekcje przepelnione są fałszem, trzeba wybierać. Lecz dla nikogo, kto chce być uczciwym, nie ma innego wyjścia: żadnego dnia, nikomu z nas, nawet w najbardziej bezpiecznych naukach technicznych, nie da się ominąć choć jeden z wymienionych skoków — w stronę prawdy lub w stronę fałszu; w stronę duchowej niezależności lub duchowego lokajstwa. I ten, któremu nie wystarczy odwagi nawet do obrony swej duszy, niech nie będzie dumny ze swych postępowych poglądów, nie pyszni się, że jest akademikiem lub artystą ludowym, zasłużonym działaczem lub generałem — więc niechaj sobie powie: ja jestem wołem robotycznym i tchórzem, mnie byleby było syto i ciepło.

Nawet ta droga — najbardziej umiarkowana ze wszystkich dróg oporu — dla nas, zasiedziały, nie będzie lekka. Ale o ileż lżejsza niż samopalenie lub nawet głodówka: płomień nie obejmie twego tułowia, oczy nie wyleżą na leń od żaru i jakiś czarny chleb z czystą wodą zawsze znajdzie się dla twojej rodziny.

Sprzedany przez nas, oszukany przez nas wielki naród Europy — czechosłowacki, czyż nie pokazał nam, jak nawet przeciwko czołgom wystaje bezbronna pierś, jeśli w niej jest godne serce?

To nie będzie lekka droga — ale najłatwiejsza z możliwych. Nielatwy

wybor dla ciała — ale jedyny dla duszy. Nielekka droga — jednak są już u nas ludzie, nawet ich dziesiątki, którzy latami wytrzymują te wszystkie punkty, którzy żyją w zgodzie z prawdą.

Tak więc: nie jako pierwszym nam wstępować na tę drogę, lecz — przyłącz się! Tym łatwiejsza i tym krótsza wydaje się nam wszystkim ta droga. Im szybciej, im gęściej my na nią wkroczymy! Będą nas tysiące — i nie dadzą sobie rady z nikim, nic nie da się zrobić. Staną nas dziesiątki tysięcy — i my nie poznamy naszego kraju!

Jeśli my stchórzymy, to dosyć uskarżania się, że ktoś nam nie daje odychać — to my sobie sami nie dajemy! Przygniemy się jeszcze, poczekamy, a nasi bracia biolodzy mogą przybliżyć czytanie naszych myśli i przebróbkę naszych genów.

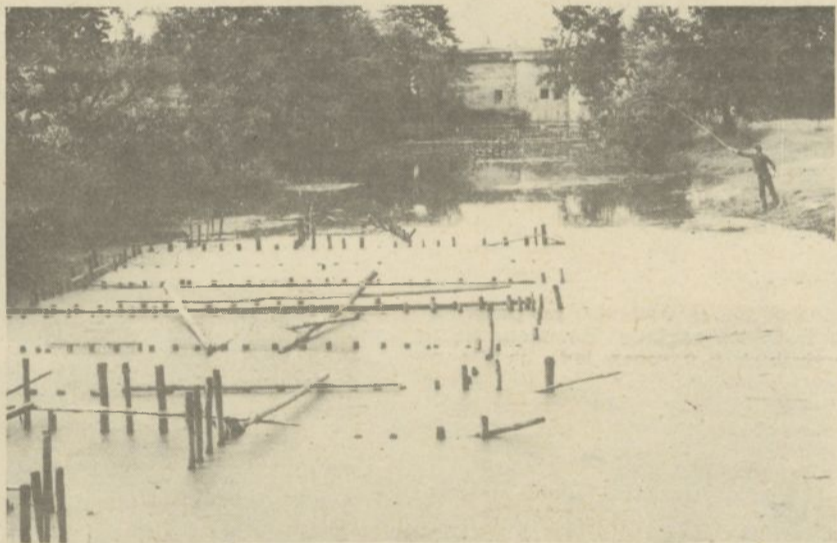
Jeśli i w tym my stchórzymy, to jesteśmy — nędzni, beznadziejni i to do nas odniosą się słowa Puszkina: Nasledstwo ich iz roda w rody Jarmo s gremuszkami da bicz

K czemu stadam dary swobody?

Nasledstwo ich iz roda w rody Jarmo s gremuszkami da bicz

12 luty 1974

Z BIEGIEM BUGU



Fotografował
Waldemar
Stępień



Represje względem AK przynosiły ogromne straty polityczne na gruncie wewnętrznym i międzynarodowym

W SRÓD istotnych czynów powojennej historii, wśród dat ukazujących rodzenie się pierwszego stadium polskiego stalinizmu, zwrot polityczny kierownictwa PPR, mający odzwierciedlenie w polityce PKWN w październiku 1944 r., zajmuje miejsce szczególne. Pojęcie to w pracach i publikacjach, poświęconych niedawnej przeszłości naszego kraju, nie występuje. Jeżeli zaś pisze się o wydarzeniach z października 1944 r., to w sposób jednostronny, wręcz kłamliwy.

Symptomatyczna jest tu praca Władysława Góry: „Polska Ludowa 1944—1984” (Lublin 1986), aspirująca do naukowej syntezy dziejów PRL. Autor, mimo znajomości źródeł i wyjątkowo ułatwionego do nich dostępu, w ogóle nie zauważył tej cezur, zaś wydarzenia z jesieni 1944 r. skomentował licznymi sloganami w stylu: „Dywersyjnej działalności obozu reakcyjnego, hasłem bojkotu PKWN, terrorowi zbrojnego podziemia przeciwstawił obóz demokratyczny z PPR na czele konstruktywny i dalekosiężny program budownictwa nowej, ludowej Polski [...] W walce z ogromnymi trudnościami gospodarczymi i politycznymi, z zaciętkim oporem rodzimej reakcji, władza ludowa przekonywała i pozyskiwała masy pracujące”.

Poza historiografią emigracyjną (Tadeusz Zenczykowski) i opracowaniami wydanymi w tzw. drugim obiegu wydawniczym, bądź za granicą (Krystyna Kersten), w Polsce jedynie Andrzej Werblan w swej ostatniej książce o Władysławie Górze dosyć obszernie usiłuje odnieść się do wydarzeń, które zaważyły w bardzo istotnym stopniu — z jednej strony — na sposobie sprawowania władzy przez komunistów, z drugiej zaś — na nastrojach i stosunku społeczeństwa do odradzającego się Państwa Polskiego.

Ale i Werblan zatrzymuje się w swych ocenach w połowie drogi. Nie jest to przypadkowe. Głębsze spojrzenie na zwrot polityczny w październiku 1944 r. wymagałoby od autora reinterpretacji roli Wł. Gomułki jako nieustępliwego i konsekwentnego rzecznika suwerenności i demokracji oraz narodowego dialogu Polaków. Taki zaś obraz kreuje praca Werblana. Istotne znaczenie ma również fakt, iż zwrot październikowy 1944 musi być rozpatrywany integralnie z analizą rzeczywistego charakteru ówczesnych stosunków polsko-radzieckich.

N IE rozstrzygając problemu istnienia podziałów wewnątrz kierownictwa Polskiej Partii Robotniczej, trzeba zauważyć, iż pewnym nieporozumieniem jest traktowanie w historiografii koncepcji Wł. Gomułki jako alternatywnego modelu socjalizmu, który miało zbudować w Polsce, różnego od modelu radzieckiego w istotnych dla systemu elementach.

Doktryna narodowej drogi do socjalizmu była w 1944 r. i w latach następnych alternatywą wewnątrz stalinizmu. Nie oznaczała więc pełnej suwerenności i niezależności od ZSRR, zarówno w płaszczyźnie państwowej, jak i partyjnej. Dopuszczała, by w formach zewnętrznych, nie zaś w istocie systemu, mogły istnieć różnice modelowe pomiędzy krajami, które wkroczyły na drogę socjalizmu. Na tę istotną prawidłowość zwróciła niedawno uwagę Krystyna Korsten.

Dla komunistów nadrzędność ZSRR wynikała nie tylko z geopolitycznego położenia Polski, mocarstwowej pozycji Związku Radzieckiego i faktu wyzwolenia ziem polskich spod okupacji niemieckiej przez Armię Czerwoną. Była ona wyborem opcji ideologicznej i reminiscencją hasła światowej rewolucji, dokonywanej pod przywództwem naszego wschodniego sąsiada. Dążenie do przekształcenia Polski w republikę radziecką, słynną 17 republikę, miało w szeregach PPR wielu zwolenników.

Dobitnie wyraził to w połowie 1948 r. Mieczysław Moczar, we własnoręcznie napisanym piśmie do Biura Politycznego KC PZPR, przy okazji innego już zwrotu politycznego: „Związek Radziecki nie jest dla nas sojusznikiem, to jest powiedzenie dla narodu. Dla nas, dla partyjniaków, Związek Radziecki jest naszą ojczyzną, a granicę naszą nie jest w stanie określić, dziś są za Berlinem, a jutro na Gibraltarze”.

Gomułka reprezentował tę część kierownictwa PPR, która zdawała sobie sprawę z niezbędności pozyskania wpływów w społeczeństwie i stworzenia

przesłanki umożliwiających odrzucenie dość powszechnego zarzutu o agenturalność kierowanej przez niego partii. Stąd dążenie, popierane przez Stalina i Centralne Biuro Komunistów Polskich w Moskwie, by odejść od hasła komunistycznych i nasycić dokumenty programowe frazeologią patriotyczną i demokratyczną. Stąd też określona retoryka, towarzysząca powstaniu Krajowej Rady Narodowej i Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Z ABIEGI te nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Nie doceniono dojrzałości politycznej społeczeństwa i nie zweryfikowano właściwie jego postaw. „Dominującą siłą był wówczas obóz londyński — pisał w swych studiach historycznych Zygmunt Mańkowski — który choć nie-społny wewnętrznie (ruch ludowy, socjalistyczny, radykalizacja społeczna) otrzymał akceptację większości narodu. Propagował on zresztą stosunkowo radykalny program przeobrażeń społecznych w kraju po wyzwoleniu (Deklaracja Rady Jedności Narodowej „O co walczy Naród Polski”), zakładający m. in. powrót do układu ustrojowego sprzed 1926 r., reformę rolną, uspołecznienie podstawowych środków produkcji. Obóz ten wyszedł z okupacji ze swoją legendą”.

Tak więc ogromna większość Polaków związała swe losy z konspiracją podporządkowaną rządowi RP w Londynie, identyfikowaną dość powszechnie z Armią Krajową. Główne ugrupowania i kierunki polityczne nie uwiaryły w tak nagłą metamorfozę komunistów i potraktowały ich działania i zabiegi na rzecz utworzenia wspólnego frontu walki z Niemcami i budowy demokratycznego państwa jako zabieg taktyczny, mający wesprzeć rzeczywisty cel, tj. zdobycie, przy poparciu ZSRR, władzy w Polsce.

Tym m. in. należało tłumaczyć fiasko rozmów kierownictwa PPR z Delegaturą Rządu w styczniu i lutym 1943 r. W ich trakcie jeden z wysokich funkcjonariuszy Biura Informacji i Propagandy KG AK — Eugeniusz Czarnowski — pisał: „Zastanawiając się nad rozmowami z »K« [kryptonim komunistów — przyp. J. W.], wydaje mi się, że nasza strona nie jest odpowiednio przygotowana, nie zna ich mentalności i celów taktycznych. [...] Mają oni, podobnie jak niektórzy katolicy, swoją dialektykę, wobec której prostolinijna logika i normalny sposób porozumienia się zawodzi. [...] Prawdopodobnie jednak oświadczają: 1) że stoją na stanowisku Niepodległości i Suwerenności Pol-

skiej Republiki Ludowej (same duże litery) oraz socjalnej solidarności proletariatu; 2) że ich ewentualny nawet związek z Międzynarodówką nie jest przez Państwo zabroniony, gdyż wszelkie ruchy społeczne mają międzynarodowe powiązania [...] 3) że działają zgodnie z duchem paktu Sikorski — Stalin, który gwarantuje niepodległość i suwerenność Polski, dąży do zbliżenia obydwu narodów. [...] Sądzą, że PPR skłonna będzie iść na najdalsze kompromisy, aby tylko zdobyć grunt pod nogami: wzmożenie walki i legalizację. Później (przy ich elastyczności) będą dopiero coraz to nowe stawiali postulaty”.

Okres lat 1939—1944 nie spowodował wyzbycia się przez społeczeństwo polskie obaw przed komunizmem jako systemem totalitarnym mającym prawo suwerenności Polski. Doświadczenia niemieckiej okupacji oraz zajęcie ponad

ZWROT

Janusz Wrona

połowy przedwojennego terytorium państwa polskiego przez Armię Czerwoną (1939—1941) obawy te wręcz wznowił. Jak pisał Jacek Chrobaczynski, badający postawy i nastroje społeczeństwa w latach 1939—1940 (na przykładzie Krakowa) — „Obwiniano ZSRR niemal o wszystko. W zależności od środowiska były to: bolszewizm, kolchozy, totalitaryzm władzy, bezbożność i ateizm, bezwzględność wobec małych państw i narodów”.

Z kolei Jan Malanowski, analizując procesy społeczne wśród ludności na zaanektowanych ziemiach wschodnich, związane z antypolską polityką władz radzieckich, konkluduje: „Jedno wszakże nie ulega wątpliwości: masowe represje stosowane wobec przedstawicieli grupy narodowej polskiej i ogromne straty materialne polskiej ludności są faktem. Nie mogło to przejść bez echa w świadomości narodowej Polaków” („Tygodnik Kulturalny”, nr 38 z 17.09.1939).

L ATEM 1944 r. rozpoczyna się w Polsce proces budowy systemu stalinowskiego, którego pierwszym stadium było ustanowienie bezwzględnej hegemonii komunistów w sferze władzy (KRN, PKWN).

Otrzymałszy władzę z rąk Stalina, znalazła się PPR w trudnej sytuacji. „Komuniści w Polsce — pisał K. Kersten — zawieszani byli niejako mię-

Jesień 1939

Zbigniew R. Muszyński

7 DYWIZJA piechoty, działająca w ramach Armii „Kraków”, broniła w pierwszej fazie kampanii wrześniowej odcinka frontu środkowego w rejonie Lublińca — Kłobuck (na zachód od Częstochowy). Działający w jej składzie 27 pp, dowodzony przez ppłk. Bronisława Panka, zajmował 1 września o świcie pozycje m.in. w rejonie miejscowości Truskolasy. Pancerny przeciwnik, zachodzący drogą 7 DP wyrwał od Woźnik i Zarek, był wielokrotnie szybszy i silniejszy. Przez ofiarą walkę opóźniająca, 1 września rano czterema dywizjami niemieckimi, wytrwanie pod Częstochową do wieczora 2 września i zacięty, choć tragiczny bój 3 i 4 września w rejonie Janowa i Koniecpola (na pld.-wsch. od Częstochowy), znowu z prawie czterema dywizjami nieprzyjaciela, 7 DP zagradza przez trzy dni drogę głównemu niemieckiemu uderzeniu pancernemu, zmierzającemu ku Warszawie i Górom Świętokrzyskim. Tym samym, odgrywając bardzo ważną rolę w ogólnej bitwie, przestała praktycznie istnieć — jako zwarta jednostka — już w czwartym dniu wojny.

Resztki rozbitej 7 DP, a wśród nich bateria przeciwlotnicza, bateria artylerii lekkiej, kompania kolarzy (dywizyjna), drobne grupy żołnierzy z dowódcami 25 i 27 pułków piechoty oraz tabory wycofywały się różnymi drogami przez Kielecczyznę w kierunku środkowej Wisły, by na początku drugiej dekady września znaleźć się na Lubelszczyźnie w ramach macierzystej Armii „Kraków” lub innych związków WP.

Większość ocalałych jednostek 7 DP wzięła udział w pierwszej bitwie pod Tomaszowem Lubelskim (17—20 września). Wieczorem 21 września w rejonie Łowczy dostał się do niewoli niemieckiej

gen. bryg. Antoni Szylling — dca armii „Kraków”, wraz z ppłk. B. Pankiem — dca 27 pp i grupą innych oficerów. Jednostki Armii „Kraków” uległy rozproszeniu, część żołnierzy dostała się do niewoli niemieckiej. Niektóre oddziały samodzielnie, lub z innymi jednostkami walczącymi pod Tomaszowem, podążały na wschód w kierunku Lwowa lub na Wołyń, z nadzieją stawienia tam jeszcze oporu atakującym już wówczas dwu najeźdźcom.

WALKA W ROGALINIE

Kilkudziesięcioosobowa (?) grupa oficerów i żołnierzy 27 pp (według innych źródeł podobno w sile kompanii), dowodzona przez majora (NN), udała się po bitwie tomaszowskiej na północny wschód, w

kim brzegu doliny Bugu. Doszło do walki oddziału, dysponującego dwoma karabinami maszynowymi, jednym karabinem ppanc., jednym działkiem ppanc. i kilkudziesięcioma kbk (według innych w kbk), z nieprzyjacielem przewyższającym kilkakrotnie liczebnie i siłą ognia zbiorczą kompanię 27 pp.

Ze wzniesienia nad wsią celnym ogniem raziło Rosjan działko ppanc. i karabiny maszynowe, ale w niedługim czasie działko zniszczone zostało bezpośrednim trafieniem pocisku czołgowego. Poległa cała obsługa działka. Czołg radziecki strzałem uszkodził jeden z domów (Piotra Katy). Doszło do walki w poszczególnych zabudowaniach wsi, w których znajdowali się polscy żołnierze. Na podwórzu gospodarstwa Felicji Tracz jeden z trzech (?) oficerów polskiego oddziału, por. Edmund Janicki, za-

ARMIA CZERWONA

kierunku Hrubieszowa — Uściługu, prawdopodobnie z zamiarem dotarcia do Włodzimierza Wołyńskiego (nie wiedząc, że jest on już w rękach Armii Czerwonej).

W sobotę 23 września lub w niedzielę 24 września (rozbieżność w relacjach) w godzinach rannych jednostka ta znalazła się we wsi Rogalin Górny (kolonia podworska), leżącej przy szosie Hrubieszowa — Uściług, na lewym brzegu Bugu, ok. 1—2 km na wschód od terenów cukrowni „Strzyżów”.

W rejonie Czernikowa (wieś na prawym, dziś radzieckim, brzegu Bugu) przeprawiła się w tym czasie brodami przez płytką wówczas rzekę oraz przez leżący niżej most duża jednostka radziecka (piechota wsparta czołgami). Kompania 27 pp znajdowała się wówczas wśród rzadkich zabudowań Rogalina oraz na wzgórzach za domami, na wyso-

strzelił radzieckiego dca (kombata), lecz w chwili później sam zginął od kuli krasnoarmiejców, strzelających od strony stodół.

Wobec miazdzącej przewagi Armii Czerwonej w ludzkiej i sprzętowej otoczenia wsi, oddział polski był bez szans na oderwanie się od nieprzyjaciela. Zdecydowano się na złożenie broni. Do niewoli dostało się około 25 szeregowców i oficerów, z dca majorem na czele (wśród wziętych do niewoli byli podobno również kapitan i porucznik). Poległo 13 żołnierzy, a wśród nich wspomniany już por. E. Janicki (pochodzący podobno z Poznańskiego). Ludność wsi Rogalin, w przeważającej większości polska, zajęta się pochowaniem poległych. Po walce, wieczorem, pochowano we wsi obok szosy, pod wzniesieniami lewego brzegu Bugu, 9 poległych. Następnie znaleziono jeszcze i po-

dzy rolę wynikłą z przynależności do schodzącej już z historycznej sceny, lecz jeszcze funkcjonującej formacji ponadnarodowej i ponadpaństwowej, której centrum stanowiła Moskwa, a duchowym i politycznym przywódcą był Stalin, oraz rolę nową, związaną z przejściem odpowiedzialności za państwo, jeśli nawet tylko częściowo suwerenne, to przecież w kategoriach prawa międzynarodowego będące odrębnym podmiotem" („Tygodnik Solidarność” nr 3/40 z 1989).

Ten stan zawieszenia potęgował fakt, iż w ostatnich tygodniach lipca i pierwszych tygodniach sierpnia nie dla wszystkich w pełni czytelnymi były zamiary J. Stalina odnośnie Polski. Z jednej strony — NKWD, przejmujący archiwę gestapo i AK oraz korzystające z pomocy świadomych i nieświadomych informatorów, kontynuowało proces rozbijania i aresztowania żołnierzy AK, z drugiej zaś — oficjalny

osoba pierwszego radzieckiego przedstawiciela w Lublinie nie wszystkim w kierownictwie PPR odpowiadała. Skarżono się na niego do Stalina.

Dostępne w kraju źródła, jak na razie, nie pozwalają określić bliżej charakteru i skali kontrowersji. Waga wzajemnych stosunków między Polską i ZSRR przyczyni się być może w przyszłości do udostępnienia historykom archiwów radzieckich. Pomogłyby one w bardzo istotny sposób pełniej zrekonstruować omawiane wydarzenia.

Od pierwszych chwil powstania PKWN jako najtrudniejszy rysował się problem stosunku do AK. Najpierw na porządku dziennym stał problem dwuwładzy, jaka zaistniała na wielu wyzwolonych obszarach. Kwestię tę rozwiązała Armia Czerwona i NKWD. Aresztowania i wywózki na wschód stworzyły klimat rzucający na główny problem ówczesnej polityki wewnętrznej — określenia stosunku i postępo-

po wybuchu powstania warszawskiego, będącego walką o demokratyczną Rzeczpospolitą. Na podstawie na posiedzeniu PKWN w dniu 16 sierpnia pytanie, co będzie, gdy powstanie zwycięży, pada brutalna odpowiedź, iż wówczas powoła się czterodwizyjny korpus ekspedycyjny, który pod wodzą gen. Kieniewicza i płk. Radkiewicza spacyfikuje powstańczą Warszawę.

Realizowana przez władzę radziecką latem 1944 r. polityka represji względem AK przynosiła ogromne straty polityczne na gruncie wewnętrznym i międzynarodowym. Unaoczniała bowiem rzeczywisty charakter władzy

wrocie ustosunkowanie się do politycznych legalnych organów Państwa Polskiego — KRN i PKWN oraz do Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego, stwierdzam z własnej i nieprzymuszonej woli co następuje:

1. Oceniam należycie zbawienną dla naszego narodu działalność KRN i PKWN [...].

2. Widzę i potępiam haniebną działalność kierownictwa Armii Krajowej [...].

W dalszej części oświadczenia miało deklarować nieutrzymywanie kontaktów zakazanych przez dekrety oraz wyrażać zrozumienie dla faktu skierowania do obozu dla internowanych. Stąd projekt oświadczenia kończył się słowami: „Nie żywię więc z tego powodu do nikogo żalu i pretensji”.

Jednak oficjalnie, początkowo, propaganda przybierała względem AK ton łagodny. Wiązało się to niewątpliwie z trwaniem walk w powstańczej Warszawie. Brak efektywnej pomocy dla powstańców ze strony Armii Czerwonej, jak również rozbrojenie i internowanie oddziałów AK, które chciały wespół walczyć z stolicą, w połączeniu z dwuznaczną postawą wobec powstania ze strony władz PKWN, powodowały wzrost niechęci i nieufności do ZSRR i komunistów.

Złożoność i tragizm sytuacji, w jakiej znalazło się społeczeństwo polskie latem 1944 r., oddawał wiersz 19-letniego żołnierza AK — Józefa Szczepańskiego (poległego w walce), napisany w drugiej połowie sierpnia na barykadach Starego Miasta. Nosił on tytuł „Czerwona zaraza”. Warto zacytować jego fragment:

Czekamy ciebie — czerwona zarazo,
Byś wywabiała nas od czarnej śmierci,
Byś nam, Kraj przedtem rozdarszy
na ćwierci,
Była zbawieniem — witamy z odrazą.

KLESKA powstania stworzyła warunki, by rozpocząć kampanię zniesławiania i dezawuowania władz polskiej podziemnej i Armii Krajowej. Stanie się to w październiku 1944 roku. Atak na AK będzie osi nowego kursu politycznego, trwającego w Polsce oficjalnie do maja 1945 r. Rzeczywistym adresatem zwrotu październikowego 1944 r. było całe polskie społeczeństwo. „Zaplutymi kartami reakcji” okazały się zarówno inteligenci, jak i chłopcy oraz robotnicy. Filozofia zwrotu politycznego sprowadzała się do ukazywania Polakom nieuchronności zwycięstwa siły — głównego argumentu totalitaryzmu. Terror państwowy miał usankcjonować nieodwracalność dokonywanego się w Polsce procesu zmiany władzy. By terror ów zastosować, należało znaleźć odpowiednie uzasadnienie.

(Koniec odcinka 1. — cdn.)

PAŹDZIERNIKOWY 1944

przedstawiciel ZSRR przy PKWN, gen. N. Bułganin, wydawał decyzje i instrukcje, których celem było podkreślenie suwerenności wyzwolonych ziem.

W niepublikowanej relacji Jan Manugiewicz, występujący oficjalnie jako przedstawiciel KRN w Lublinie, tak przedstawia rozmowę Bułganina z radzieckim komendantem Lublina, gen. Trufanowem, odbytą w pierwszych dniach po wyzwoleniu miasta: „Kiedy siedzieliśmy, z ust Bułganina posypał się na komendanta miasta potok dosadnych rosyjskich słów. Bułganin miał lepsze rozeznanie w sytuacji w mieście niż ja, on miał więcej informatorów, bo miał swoich oficerów. Okazało się, że po mieszkaniach, uchodzących za mieszkania folksdojczów, grasują bandy wojskowe. Tymczasem to nie były mieszkania folksdojczów, a polskie. Ta grabież szła oczywiście na rachunek armii. W jakiejś fabryce żołnierze »tankują« wino i kąpią się po prostu w tym winie. Bułganin żądał natychmiastowego usunięcia wojska z kwater w mieście i przerzucenia ich do strefy podmiejskiej, aby tu żadnych tego rodzaju spraw nie było”.

W innym miejscu Jan Manugiewicz napisze: „Kiedy był Bułganin [do 20 XI 1944 — przyp. J. W.], stanowisko ambasady było bardziej życzliwe dla spraw polskich, aniżeli dużej części aktywności partyjnego. Smutne to słowa, ale prawdziwe. Później dopiero skład ambasady był gorszy”. Z protokołów Biura Politycznego KC PPR wynika, iż

wania względem AK. Formalnie mieli to zrobić komuniści polscy, zajmujący główne pozycje w rządzącym się aparacie władzy. Faktycznie decydującą instancją był J. Stalin. Doceniając znaczenie radzieckiego przywódcy dla kształtowania linii politycznej PKWN, nie można pominąć wpływu określonych grup w kierownictwie PPR na sposób realizacji polityki względem AK.

Skuteczna eliminacja aparatu władzy terenowych Delegatur Rządu RP w Londynie i ubezwłasnowolnienie AK latem 1944 r. zachęcały do kontynuacji polityki siły i rozwiązania w ten sposób problemu władzy. W polskich realiach 1944 r., przy braku poparcia ze strony społeczeństwa, była to jedyna realna możliwość zdobycia i utrzymania władzy przez komunistów. Niektórzy przedstawiciele PKWN od początku nie bawili się w dyplomację. Na zebraniu pracowników Zarządu Miejskiego w Lublinie przemówił Z. Kratko. Uczestnicząc w zebraniu Jan Manugiewicz tak charakteryzuje mówcę: „Jego przemówienie było w tonie wyraźnie niestosownym. Ot taki zwykły tank po brzuchach ludzkich, jakim się przejeżdżali nieraz nasi mówcy. Pogrożki, strachy, represje. W tamtej sytuacji nie należało mówić tym językiem. To było zupełnie niepotrzebne”.

Konieczność działania z pozycji siły uwidoczniła się szczególnie

PKWN i jej zależność od Związku Radzieckiego.

Nie rezygnując z jej stosowania, komuniści wobec słabości własnego aparatu represji, uwzględniając taktyczne cele polityczne, formują tzw. politykę otwartych drzwi. Jeszcze w czerwcu 1944 r. Zarząd Polityczno-Wychowawczy I Armii Wojska Polskiego w opracowanym konспекcie pogadank żołnierskich określił, iż „Bratem jest nam żołnierz AK, który wytoczył krew z niejednego Niemca”. Natomiast w pierwszej połowie sierpnia 1944 roku szef zarządu, ppłk Roman Zambrowski pisał: „Dla wszystkich żołnierzy i oficerów AK są szeroko otwarte podwoje Wojska Polskiego, wszystkie stanowiska wojskowe i szkoły wojskowe. Kiedy Armia Czerwona i I Armia Wojska Polskiego forsuja Wisłę i walcą o Warszawę, członkowie AK nie mogą pozostać w bezczynności”. Już jednak w końcu sierpnia R. Zambrowski zalecał żołnierzom związanym z AK „dokładnie poznać i obserwować”.

Generalnie do połowy września 1944 roku Biuro Polityczne KC PPR wyrażało przekonanie, iż trzeba „zrobić wszystko, aby wcielić szeregi AK do Wojska Polskiego”. Ale też w tym samym czasie kierownictwo partii zapoznawało się z projektem oświadczenia adresowanego do internowanych żołnierzy WP, wywodzących się z szeregów AK:

„Ja... skierowany do obozu dla internowanych, wskutek podejrzeń o

chowano obok pierwszego grobu zwłoki trzech poległych i później jednego, znalezione w zaroślach (łącznie 13 osób). Zidentyfikowane (zapamiętane) zostały cztery nazwiska: wymieniany już por. E. Janicki; pochodzący podobno z Bydgoskiego Władysław Musioł i Piotr Pietrzak oraz z Toruńskiego — Jan Pierzak. Części walczących udało się uniknąć niewoli — rozproszyli się w terenie i ukryli.

Rannymi (około trzydziestu) zaopiekowała się ludność Rogalina i Strzyżowa. Pomocy udzielali: Irena Barierska, Michał Kata, Władysław Pacholec, Stefania Staruchowa, Mieczysław Turek, Stefan Zak i inni. Łężej rannych opatrzone i umieszczono w szpitalu polowym (przygotowanym jeszcze przed wojną) w zabudowaniach cukrowni „Strzyżów”, bardziej poranionych przewieziono do szpitala w Hrubieszowie, gdzie znaleźli się pod troskliwą opieką lekarza Józefa Wojciechowskiego.

Zamordowani w Husynnem pochowani zostali obok cmentarza prawosławnego w tej wsi. Nazwisk (poza jednym: Stefan Pyszkowski z Warszawy) nie udało się ustalić. Dokumenty zamordowanych zostały prawdopodobnie zniszczone, podobnie jak w innych miejscowościach (np. w Wytuczynie).

Niektórzy z rannych pod Rogalinem, zabrani do szpitala w Hrubieszowie, zmarli tam i zostali pochowani na miejscowym cmentarzu, brak jest jednak dokumentacji tych przypadków. Wielkość strat i miejsce pogrzebania zwłok żołnierzy Armii Czerwonej, poległych pod Rogalinem, nie są dotychczas znane.

W KIERUNKU WĘGIER

Z całej Lubelszczyzny pod koniec września i na początku października podążało — z różnym powo-

NA LUBELSZCZYŹNIE

Niektórych rannych przetrzymano we wsi i po udzieleniu pomocy ułatwiono im powrót do domów. Do takich należał m. in. szer. Michał Chyra. Jednym z uratowanych był także podporucznik z Warszawy (NN).

Zabranych do niewoli w Rogalinie (według innych relacji — w Husynnem) zgromadzono w obozie dworskiej w Husynnem, gdzie wieczorem tego samego dnia zostali przez Rosjan zamordowani. W zbrodni uczestniczyli także miejscowi Ukraińcy, którzy „zaopiekowali” się rzeźniakami zamordowanymi. Dowódcę — majora odłączono od grupy jeńców i po dokonaniu mordu poprowadzono w biełżynie w kierunku stawów flotacyjnych cukrowni „Strzyżów”. Ślad po nim zaginął. Przepuszczalnie został utopiony w wapnie poflotacyjnym.

dzieniem — w kierunku węgierskiej granicy wiele grup oficerskich, a nawet większych grup szeregowych i podoficerów z oficerami na czele. Wielu szczęśliwcom udało się dotrzeć do celu, większość wpadała w ręce Rosjan i najczęściej dzieliła los oficerów grupy płk. Zieleniewskiego.

Po walkach pod Krasnobrodem (22—26 września) podążał na południe jeden z takich oddziałów, złożony głównie z resztek 77, 85 i 86 pułków piechoty. Oddajmy głos uczestnikowi wydarzeń, jednemu z oficerów tej grupy, ówczesnemu porucznikowi Stanisławowi Swianiewiczowi, autorowi głośnej książki „W cieniu Katynia”, jednemu z polskich oficerów, który ze stacji Gniezdowo nie trafił do katyńskiego lasu, lecz do moskiewskich Łubianek.

Akcja toczy się 28 września gdzieś na pograniczu Lubelszczyzny i dawnego województwa lwow-

skiego: „[...] podpalono obłany naftą stos broni. Płomień buchnął niemal momentalnie. Jednocześnie zerwał się wiatr, który porwał w górę palące strzępy. Suchym trzaskiem wybuchły rzucone na stos paczki z amunicją. Na polanie zrobiło się gorąco. Ukośne czerwone płomienie zachodzącego słońca zmieszały się z odbłaskami płonącego stosu, dziwnie zabarwiając konary pobliskich drzew. Miałem poczucie, że ogień z palących się resztek naszego dobytek pułkowego zapala świat dookoła i wszystko za chwilę rozpadnie się w gruzy. Nie mogłem już dłużej wytrzymać, coś boleśnie ścisnęło pod gardłem, przed oczyma tworzyła się jakby zasłona, nadająca wszystkiemu dookoła jakieś mgliste kontury. Szybko uściśniętem odchodzących towarzyszy broni i powoli skierowałem się do dworu. Za opłotkami pobliskich zabudowań oraz za szerokimi konarami drzew jak cienie przesuwały się postacie okolicznych chłopów, czatujących na łup po rozpadającym się zbrojnym ramieniu Rzeczypospolitej. Wchodząc do dworu, spotkałem gen. Wołkowickiego, płk. Nowosielskiego i por. Sielickiego w towarzystwie wysokiej, siwej pani, której opiece powierzyli skarb, który każda polska kobieta zawsze z pietyzmem przyjmie na przechowanie: sztandar bojowy 77 pp.

[...] Dzień, który opisuję, był ostatnim dniem naszej epopei bojowej. Podczas gdy staliśmy z gen. Wołkowickim w oświetlonej odbłaskami zachodzącego słońca jadalni dworu, płk. Nowosielski wydawał rozkazy formowania kolumny marszowej. Wyruszyliśmy już dobrze po zachodzie słońca. Na czele kolumny jechał pułkownik, dowódca obydwu batalionów prowadzili resztki swoich oddziałów, dalej ciągnął się sznur wozów. Pozostało wszystkiego około 300 ludzi. Nie był to już ten zwarty oddział, który jeszcze przed dwoma dniami walczył pod Krasnobrodem; były to rozbitki, przeniknięte jednym wspólnym dążeniem, aby, unikając walki, przesuwać się pasem pomiędzy odchodzącymi Niemcami a nadchodzącymi Rosjanami do granicy węgierskiej. Noc była rozpaczliwie chłodna, nie sposób było usiedzieć w siodle, bo zamarały nogi.

Dokończenie na str. 12

REICHSWEHRA I ARMIA CZERWONA - OSTATNIA BIAŁA PLAMA?

Ziemowit Michalski

Z wszystkich książek, które przed laty przeczytałem „nieleganie” — wrażenie najbardziej niecenzuralnej zrobiła na mnie praca Bregmana „Najlepszy sojusznik Hitlera”.

O lagrach w kraju, w którym „tak wolno dyszy czelawiek”, od czasu do czasu pisano. Niekiedy wieżyczki strażnicze pokazywały z oddali nawet produkty „Mosfilmu”, zaś „Polityka” w początku lat sześćdziesiątych drukowała w odcinkach „Jeden dzień Iwana Denisowicza”. W stosunku do tego, co wolno nam było wiedzieć oficjalnie, „Archipelag Gulag” był już tylko różnicą ilościową. Chociaż, co prawda, różnica była tak znaczna, iż ilość przechodziła w jakość.

Podobnie było z prześladowaniami i eksterminacją bohaterów Polski Podziemnej. Temat ten starano się przemilczeć. Unikano rozpisywania się o szczegółach, ale jakiś jego ślad w publikacjach urzędowych był. I mimo oficjalnej dyrektywy „spuszczenia żałobnej kurtyny nad okresem błędów i wypaczeń” (w rezerwie zawsze byli „ulani rakowieccy” z ich tezą o syjonistycznej mafii, która opanowała UB) czegoś na ten temat można się było w krajowych bibliotekach dowiedzieć.

W szcątkowej postaci występowała także w publicystyce historycznej agresja ZSRR na Rzeczpospolitą Polską. Nie był to wprawdzie ani „nóż w plecy”, ani „czwarty rozbiór”, lecz tylko „ochrona ludności ukraińskiej i białoruskiej” (w wersji autorów mniej zakłamanych — „polityczna konieczność odsunięcia frontu od stolicy Kraju Rad”), ale faktu samego nie zatajano.

Co więcej, autorom odważnym — jak Moczulski — udawało się nawet czasem coś przemycić. Choćby fragment ze słynnego przemówienia Mołotowa o „pokracznym bękarcie Traktatu Wersalskiego”.

(Puryści językowi, mimo ukształtowanej już tradycji, z uporem poprawiają „bękarta” na „twór”. Tłumaczenie poza tym, że musi być wierne, winno oddawać także „ducha” wypowiedzi oraz być zgodne z logiką języka. „Pokraczny twór” nie dość, że jest określeniem znacznie słabszym, to na dodatek brzmi dziwnie. Dlatego pozostają przy „bękarcie”).

Jeden tylko temat, jak się wydaje, objęty był absolutnym zakazem — bezpośrednia współpraca militarna III Rzeszy z ZSRR w okresie od września 1939 roku do czerwca roku 1941. I o tym właśnie traktuje wspomniana książka Bregmana.

Jeżeli sojusz militarny III Rzeszy i ZSRR oraz współpraca Reichswehry i Armii Czerwonej w latach 1939—1941 przestał być dziś tematem zakazanym, to nie widzę powodu, dla którego historycy nie mieliby się zająć okresem wcześniejszym. Bo przecież oczywiście jest przypuszczenie, iż pakt Ribbentrop — Mołotow był poprzedzony wcześniejszymi tajnymi kontaktami politycznymi i wojskowymi.

Na ten temat znaleźć można pewne relacje w literaturze niemieckiej. Jedną z ważniejszych jest artykuł generała Luftwaffe, Helma Speidla (brata Hansa Speidla, jednego z głównodowodzących NATO), który na przełomie lat dwudziestych był oficerem tajnej komórki sztabu lotnictwa, zajmującej się współpracą z ZSRR. W artykule tym (wydanym w bieżącym roku po polsku przez Bibliotekę Drogi) generał Speidel opisuje powstanie, organizację i funkcjonowanie trzech baz szkoleniowych Reichswehry na terenie ZSRR. Bazy te umożliwiły Niemcom szkolenie kadr i prowadze-

nie prac doświadczalnych z uzbrojeniem, którego posiadania zakazywał im Traktat Wersalski. Bazami tymi były: Centrum Lotnicze w Lipecku (400 km na pld.-wsch. od Moskwy nad rzeką Woroneż) — założone w 1924 roku, szkoła gazów bojowych „Tomka” koło Saratowa — założona w 1927 roku, oraz szkoła pojazdów bojowych w Kazaniu — założona w 1930 roku.

Ze zrozumiałych względów najlepiej znana generałowi Speidlowi była działalność bazy lotniczej w Lipecku. W syntetycznym skrócie efekty jej dziesięcioletniego funkcjonowania (zamknięta została w 1935 roku) były następujące: 1) wykształcono w pełni, dochodząc w szkoleniu do ćwiczeń taktycznych eskadry — 120 pilotów myśliwskich. 2) Opanowano technikę ataków naziemnych z lotów ślizgowych, dając w ten sposób początek lotnictwu szturmowemu, 3) Przetestowano rozwiązania polegające na wmontowywaniu do samolotów myśliwskich wyrzutni bomb, tworząc w ten sposób prototyp tzw. „Jabo” (Jagdbomber — czyli myśliwiec bombardujący). 4) Wykształcono także około 450 obserwatorów i zwiadowców lotniczych oraz znaczną liczbę personelu technicznego i naziemnego.

Z powstaniem III Rzeszy i jawnym odejściem od Traktatu Wersalskiego bazy szkoleniowe na terenie ZSRR straciły rację swojego bytu. Próby nowoczesnego sprzętu i uzbrojenia oraz szkolenie kadr można było prowadzić już na terenie Niemiec, bez konieczności wysokich płatności dla przyszłego (z roku 1939) sojusznika. Toteż na przełomie 1934 i 1935 roku bazy na terenie ZSRR rozwiązano. Strona radziecka, obok środków finansowych i wglądu w niemiecką technikę i organizację militarną, otrzymała wówczas jeszcze jedną wymierną korzyść: kompletnie wyposażone ośrodki szkoleniowe oraz część ich majątku ruchomego. I tak w Lipecku oznaczano to zysk w postaci 50 myśliwców szkoleniowych typu Fokker-D-XIII.

Informacje podane przez generała Speidla brzmią prawdopodobnie. Życie nauczyło nas jednak, aby nie przyjmować za pewnik informacji podanych tylko przez jedno źródło. Zwłaszcza że podkreślenie sojuszu z ZSRR jest dla Niemców — w jakimś sensie — formą pomniejszania swoich przewin. Jeżeli po „układzie w Rapallo” kooperacja wojskowa, prowadzona z pogwałceniem wszelkich norm prawa międzynarodowego, rzeczywiście zaszła tak daleko — muszą istnieć także inne jej ślady. Są one zapewne znane historykom badającym ten okres. Wzmianka o artykule Helma Speidla traktowana być może jako wywołanie ich do obszerniejszej wypowiedzi na ten temat.

Dokończenie ze str. 10—11

Zsiadłem więc z konia, popuściłem popręgi i prowa-
dziłem go za uzdę.

NIEWOLA

[...] Nad ranem w niedużej wiosce, położonej wśród lasów, stanęliśmy na wypoczynek. Dowódcy batalionów, jak zwykle, wystawili ubezpieczenia z karabinami maszynowymi. Gen. Wołkowicki po pewnych wahaniach rozkazał zdjąć te ubezpieczenia, a kuchnie i wozy poukrywać wśród krzaków, znajdujących się w pobliżu. Nasza szansa polegała nie na tym, że przebijemy się siłą, lecz na tym, że idąc bocznymi drogami, możemy nie zwrócić na siebie uwagi.

Mniej więcej po półtorej godzinie zostaliśmy ogarnięci przez oddziały sowieckiej kawalerii, które zalały wieś. Adiutant pułku por. Sielicki, który spał obok mnie na wiązce słomy rzuconej na podłogę, nie zdążył nawet włożyć munduru. Tak go bez munduru, a tylko w krótkim kubraku do konnej jazdy, włożonym na koszulę, przywieziono później do Kozielska. Szeregowych zwolniono, oficerów poprowadzono do dowództwa dywizji, odległego mniej więcej o 10 kilometrów. Po drodze zrobiono postój, podczas którego oczyszczono nas gruntownie z zegarków i innych wartościowych przedmiotów.

[...] Nikt z tych oficerów, z którymi wypadło mi bliżej współpracować we wrześniu 1939 roku i którzy potem dostali się do niewoli sowieckiej — ppłk Nowosielski, kpt. Pawłowski, kpt. Kowszyk, por. Sielicki — nie był sympatykiem sowieckiego komunizmu, lecz nikt z nich również nie miał na swoim koncie jakichś specjalnych wyczynów antysowieckich. Nikt z nich jednak nie dotarł do Armii gen. Andersa — wszyscy byli pomiędzy tymi, którzy zaginęli”.

Ocaleni z tej grupy jedynie gen. Jerzy Wołkowicki i autor wspomnienia. Pierwszy podobno dlatego, że któryś z badających generała enkawudziści — czytając nazwisko przesłuchiwanego — przypomniał sobie głośny niegdys w Rosji reportaż historyczny Nowikowa-Pruboja pt. „Cuszima”, w którym jest scena tak w skrócie przedstawiona przez S. Swianiewicza:

„Na statku flagmańskim u dowódcy eskadry admirała Niebogatowa odbywa się narada wojenna. Sytuacja jest dramatyczna w obliczu przeważających sił japońskich. Pierwszy ma głos najmłodszy stopniem miczman Wołkowicki. »Rozpocząć walkę, a potem zatopić się« — wypowiada on swoje zdanie. Autor przeciwstawia miczmana Wołkowickiego, jako wzór obowiązku żołnierskiego, zdegenerowanemu wyższemu dowódcem floty cesarskiej. Ów miczman Wołkowicki był tym samym generałem Wołkowickim, który dowodził nami pod Tomaszowem Lubelskim.

[...] W ostatnim roku przed wybuchem wojny z Niemcami gen. Wołkowicki był już w trakcie przechodzenia w stan spoczynku; został jednak powołany do służby czynnej jako dowódca etapów w armii gen. Dęba-Biernackiego. W drugiej połowie września 1939, już po wystąpieniu bolszewików gen. Wołkowicki poszedł do linii, gdzie objął dowództwo naszej dywizji”. Była to tzw. kombinowana dywizja piechoty, złożona z odtworzonych pułków: 43, 44, 45, 77 i 86 oraz 19 brygady piechoty i lubelskich batalionów wartowniczych dowodzonych przez płk. M. Ocetkiewicza.

Oczywiście postawa z 1905 roku nie uratowała gen. Wołkowickiego przed obozem kozielskim, ale być może uchroniła od śmierci i pozwoliła mu dożyć sędziwego wieku (zmarł w Londynie w 1983 r. w wieku stu lat).

ARMIA CZERWONA NA LUBELSZCZYZNIE

Autor wspomnień S. Swianiewicz był natomiast Rosjanom potrzebny jako wybitny znawca zagadnień niemieckich. Uratowało go to w ostatnim momencie przed śmiercią w Katyniu i stał się dzięki temu jedynym żyjącym polskim oficerem, który na własne oczy oglądał wyładunek na stacji Gniezdowo oficerów wiezionych do Katynia.

Z ogarniętej przez Armię Czerwoną grupy gen. Wołkowickiego zginęli w radzieckich obozach co najmniej:

Zidentyfikowani w Katyniu

JERZY BYCHOWIEC, syn Michała, kpt. piech., dowódca 1 komp. 1 baonu 85 pp (strzelców wileńskich). Z pułkiem przebył całą kampanię wrześniową (walki pod Piotrkowem, Maciejowicami, Dorohuskim, Krasnobrodem). Wywieziony z Kozielska do Katynia w pierwszym transporcie (3 kwietnia 1940 r.).

ARKADIUSZ KOWSZYK, kpt., kwatermistrz 85 pp. W kampanii wrześniowej przebył z pułkiem całą drogę bojową (patrz wyżej). Zamordowany w wieku 49 lat.

AUGUST (dawniej Gustaw) WIKTOR NOWOSIELSKI, ppłk dypl., kawaler Krzyża Virtuti Militari. Pod koniec pierwszej dekady września brał udział w walkach nad środkową Wisłą (na północ od Maciejowic). W nocy z 10 na 11 września na rozkaz gen. S. Dęba-Biernackiego odszedł w kierunku Chełma z odtworzonym i dowodzonym przez niego 77 pp. W połowie września uczestniczył w odtworzeniu (formowaniu) we wschodniej Lubelszczyźnie grupy armii gen. S. Dęba-Biernackiego, dowodząc nadal dwubaonowym 77 pułkiem, który wszedł w skład 19 bry-

gady piechoty płk. dypl. Jana M. Korkozowicza, formowanej w Dorohusku. Brał udział, ze swym pułkiem, w drugiej bitwie pod Tomaszowem. Przebywał w obozach w Starobielsku i Kozielsku. Przy zwłokach w Katyniu znaleziono pocztówki i Krzyż Virtuti Militari.

Przebywali w obozie w Kozielsku i prawdopodobnie zginęli w Katyniu

ARTUR PAWŁOWSKI, kpt., dowódca 1 batalionu 85 pp. W kampanii wrześniowej przeszedł z pułkiem całą drogę bojową (patrz wyżej).

JAN SIELICKI (SIENICKI?), por., adiutant pułku, 77 pp z Lidy (?). Brał udział w walkach m.in. pod Dorohuskim i w drugiej bitwie tomaszowskiej. Zamordowany w wieku 32 lat.

Losy kadry oficerskiej, resztek dowodzonej przez gen. Wołkowickiego dywizji WP, to tylko jeden z wielu przykładów losów Polaków, usiłujących dotrzeć przez Węgry do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Można by do nich także odnieść fragment legionowej poezji Edwarda Słoińskiego:

Nikt im iść nie kazał, poszli, bo tak chcieli,
Bo takie dziedzictwo wziął po dziadach wnuk.
Nikt nie pytał o nic, a wszyscy wiedzieli,
Za co idą walczyć, komu płacić dług.

Usiłujących dotrzeć na Węgry były tysiące, a spośród nich do obozów Kozielska i Starobielska z południowej Lubelszczyzny Armia Czerwona wywozła co najmniej kilkuset oficerów, z których prawie wszyscy znaleźli grób na nieludzkiej ziemi. Już po zbrodni katyńskiej, po zagładzie więźniów z obozów w Kozielsku, Ostaszkwie i Starobielsku, w pierwszą rocznicę napaści ZSRR na Polskę, organ Armii Czerwonej „Krasnaja Zwiezda” (nr 210 z 17 września 1940 r.), podsumowując „zwycięstwo” sprzed roku, informował m.in., że „w okolicy Lublina do niewoli wzięto 3 tysiące oficerów i szeregowych”, a ogólna liczba wziętych do niewoli żołnierzy polskich wyniosła około ćwierć miliona.

(Koniec odcinka 5. — cdn.)

W następnym odcinku m.in. pierwsze wywózki z Lubelszczyzny do ZSRR.

Zbigniew R. Muszyński

NA okładce książki Cezarego Leżeńskiego — „Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Smigłym (ukazała się ona ostatnio nakładem Wydawnictwa Lubelskiego) znajduje się nota informacyjna, w której napisano m.in., że „jest to pierwsza książka poświęcona Edwardowi Rydzowi-Smigłemu tak w kraju, jak i poza jego granicami”.

Nie jest to informacja zgodna z prawdą. W ubiegłym roku znalazła się na półkach księgarskich książka Ryszarda Mirowicza — „Edward Rydz-Smigły. Działalność wojskowa i polityczna” — interesujące studium historyczne o następcy Józefa Piłsudskiego.

O ile jednak Edward Rydz-Smigły interesuje Ryszarda Mirowicza przede wszystkim jako polityk oraz dowódca i strateg, o tyle Cezary Leżeński skupia się bardziej na sylwetce Rydza-Smigłego jako człowieka. Niezwykle utalentowany, pochodzący z ubogiej rodziny, zaczął się początkowo wybić na obiecującego malarza pejzażystę; zwrócił też uwagę swymi pierwszymi próbami literackimi. Potem zrobił zawrotną karierę wojskową i polityczną, wysuwając się w samym końcu lat trzydziestych zdecydowanie na pierwsze miejsce w państwowym organizmie Rzeczypospolitej.

Dwie wspomniane książki różnią się od siebie charakterem. Pierwsza jest opracowaniem naukowym; druga — to literacka opowieść. Czy może raczej — beletryzowany reportaż historyczno-literacki, ściśle oparty na faktach, odwołujący się do licznych relacji naocznych świadków opisywanych wydarzeń, do dokumentów odnalezionych przez autora.

Sam Leżeński w posłowie nazywa ją „opowieścią-mozaiką”, którą układał „ze starych jakby kamieni: okrucich informacji, relacji świadków, wspomnień i pamiętników, opracowań historycznych, dokumentów, listów, utworów literackich, doniesień prasowych. Tworzyłem w ten sposób — dodaje — obraz, koloryt, atmosferę minionych lat, dbając o to, by fragmenty przylegały do siebie, aby mówiły prawdę o czasach, ludziach, zdarzeniach. Tę rekonstrukcję pewnego losu na tle dziejów oddaję z pełnym zaufaniem w ręce ludzi, którzy pragną poznać w miarę obiektywny pogląd na całość”.

Otóż to: oddanie „kolorytu epoki”, w której wzrastał, a następnie sięgał po laury i po władzę Edward Rydz-Smigły, jest wielkim walorem „Kwatera 139”. Czytając tom pierwszy — obejmujący okres od urodzin przyszłego marszałka po koniec sierpnia 1939 r. — dzisiejszy czytelnik zostaje wprowadzony w mało mu znany dotąd okres najnowszej historii Polski: w lata tworzących się organizacji niepodległościowych przed I wojną światową, w okres działalności Legionów, tworzenia się zębów młodego państwa polskiego, lata jego stabilizacji. Otrzymuje przy tym mnóstwo informacji o działalności państwowej, ale także o życiu prywatnym, towarzyskim, codziennym osób stojących wysoko na świeczniku. Nawet dla ludzi starszych, pamiętających dobrze lata II Rzeczypospolitej, książka Leżeńskiego odkrywa wiele przedwojennych „białych plam”. Takich jak np. historię małżeństwa Edwarda Rydza-Smigłego z piękną Martą Zaleską z domu Thomas, którą marszałek darzył prawdziwą miłością i do której był szczerze przywiązany, mimo że jej charakter przysparzał mu wiele zgrzytów...

Przez kilkadziesiąt powojennych lat Edward Rydz-Smigły był ze szczególną zaciętością oskarżany o czyny niepełnione i sytuacje niezawinione. Przypisywano mu niezwykłą pychę, kompleks „wodzostwa”, brak talentów wojskowych, tchórzostwo (rzekoma „u-

cieczka” do Rumunii w nocy z 17 na 18 września) itp. Zaczęło się to zresztą już w okresie tuż powrześniowym, kiedy spadły na niego oskarżenia ze strony rozgorzconego kłeska społeczeństwa polskiego, ze strony obozu politycznego reprezentowanego przez gen. Władysława Sikorskiego (to wchodziło, przynajmniej, w zakres gry politycznej), a także — ze strony radzieckiej i niemieckiej. Po wojnie uznawano u nas w kraju zasadę, że o Smigłym, jeżeli się już w ogóle pisze, to tylko źle, krytycznie, w sposób napastliwy, uwłaczający jego pamięci. Jeszcze do niedawna na grobie marszałka Rydza-Smigłego, pochowanego w latach okupacji na Powązkach pod fałszywym imieniem i nazwiskiem Adama Zawiszy, nie wolno było położyć tablicy, stwierdzającej, czyje, w istocie, zwłoki tutaj spoczywają...

Niezwykle mało wiadomości przedostało się także do „oficjalnego obiegu” na temat okoliczności sensacyjnej ucieczki Smigłego w 1940 r. z Drago-slavele, miejsca odosobnienia w Rumunii, na Węgry i, dalej, przejście przez „zieloną granicę” do Polski, po wielo-

cia z osoby bohatera odium, jakie od lat na nim ciążyło. W udowodnienie, że marszałek Rydz-Smigły nie zasłużył w wielu wypadkach na sądy i opinie, jakie o nim dotąd wygłoszono i jakie „nierozważalne” — jak by się mogło wydawać — zrosły się w świadomości tak wielu Polaków z jego osobą. A przy tym koleje życia Edwarda Rydza-Smigłego są tak niezwykle i tak pasjonujące, że zafascynowałyby — jako tworzywo literackie, dziennikarskie czy temat na film — niejednego twórcę lubiącego penetrować zawiłe ścieżki naszej historii najnowszej. Dlatego nie dziwię się Leżeńskiemu, że jął się TAKIEGO tematu. Podziwiam natomiast jego zaangażowanie w pracę nad książką, która kiedy przystępował do zbierania ogromnego materiału dokumentacyjnego, a następnie do pisania — nie miała prawie żadnych szans na ukazanie się w Polsce. Przynajmniej w tzw. „oficjalnym” obiegu.

Z uwagi na 50. rocznicę Września książka Cezarego Leżeńskiego będzie

skierowania swego wysiłku tam, gdzie jeszcze istnieje szansa wygranej — do Francji. Tam również — mówiłem — winien przenieść Sztab Główny, jako gotowe, zgrane narzędzie pracy Wodza Naczelnego. W Polsce — mówiłem — nie ma już nic do roboty...

Marszałek — słuchając i wając — cierpiał bardzo, lecz ostatecznie przyznał słuszność moim argumentom, zgodził się, że nie ma już innego wyjścia — że pobity w Kraju, musi walczyć dalej z Francji”...

U Leżeńskiego — Składkowski pojawia się w pewnym momencie w sztabie Naczelnego Wodza i mówi z goryczą, zdenerwowany, że Smigły chce w kilka osób przedzierać się w stronę walczących jeszcze polskich wojsk. „Zaklinam pana — zwraca się Składkowski do Jaklicza — niech pan odwiedzie go od tej myśli. To szaleńcza decyzja. Jako minister spraw wewnętrznych i premier, nie mogę dopuścić do tego, by zginął z rąk buntujących się Ukraińców”.

Jak było naprawdę? Kto się mylił, wspominając po latach tamte rozterki

OPOWIEŚĆ O MARSZAŁKU ŚMIGŁYM

Mirostlaw Derecki

miesięcznym pobycie na Węgrzech. Skądinąd sprawy te znane były czytelnikom mieszkającym na Zachodzie. Już od początku lat pięćdziesiątych w paryskich „Zeszytach Historycznych” i w paryskiej „Kulturze” ukazywały się liczne relacje-wspomnienia osób, które towarzyszyły marszałkowi w miejscu internowania, w czasie jego pobytu na Węgrzech (tutaj, przede wszystkim — wspomnienia Bazylego Rogowskiego) i tych, które pomagały mu w kolejnych ucieczkach i przekraczaniu granic. Ale ile osób w Polsce mogło sięgnąć do tych publikacji? Jeszcze dzisiaj nadal na palcach jednej ręki można policzyć w kraju biblioteki, w których znajduje się komplet „Kultury” czy „Zeszytów Historycznych”.

Ostatnie chwile życia Edwarda Rydza-Smigłego zostały u nas dość szczegółowo opisane — głównie na podstawie relacji generalowej Jadwigi Maxymowicz-Raczyńskiej (na łamach wydawnictwa „Dzieje Najnowsze” w 1970 r.) w której warszawskim mieszkaniu marszałek ukrywał się i w nim umarł. Poza tym od pewnego czasu problematykę związaną z oceną ostatniego okresu życia i działalności Rydza-Smigłego podejmowali krajowej publiczności — głównie pism katolickich. Ale były to często opracowania niepełne, fragmentaryczne. Właśnie dopiero książka Ryszarda Mirowicza (w 1988 r.), a obecnie „Kwatera 139” wypełniają wieloletnią lukę.

Leżeński, prowadząc czytelnika poprzez kolejne fazy życia Edwarda Rydza-Smigłego, stara się czynić to „sine ira et studio”, w sposób możliwie najbardziej obiektywny, przedstawiając kolejne fakty, wosytywane najczęściej w szersze tło ogólnokrajowych czy też europejskich wydarzeń. Nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że książka ta wyszła spod pióra człowieka gorąco zaangażowanego w sprawę zdję-

cia z osoby bohatera odium, jakie od lat na nim ciążyło. W udowodnienie, że marszałek Rydz-Smigły nie zasłużył w wielu wypadkach na sądy i opinie, jakie o nim dotąd wygłoszono i jakie „nierozważalne” — jak by się mogło wydawać — zrosły się w świadomości tak wielu Polaków z jego osobą. A przy tym koleje życia Edwarda Rydza-Smigłego są tak niezwykle i tak pasjonujące, że zafascynowałyby — jako tworzywo literackie, dziennikarskie czy temat na film — niejednego twórcę lubiącego penetrować zawiłe ścieżki naszej historii najnowszej. Dlatego nie dziwię się Leżeńskiemu, że jął się TAKIEGO tematu. Podziwiam natomiast jego zaangażowanie w pracę nad książką, która kiedy przystępował do zbierania ogromnego materiału dokumentacyjnego, a następnie do pisania — nie miała prawie żadnych szans na ukazanie się w Polsce. Przynajmniej w tzw. „oficjalnym” obiegu.

A skoro już jesteśmy przy wrześniu 1939 r., to muszę zauważyć, że odczuwam pewien niedosyt. Autor zbyt szybko przechodzi od pierwszych dni wojny (bez uwzględnienia np. spotkania Rydza-Smigłego, Mościckiego, Składkowskiego na zamku w Olyce, bez uwypuklenia okresu tych kilku dni, zanim znalazł się on wraz ze swym sztabem w Kołomyi) do dnia 17 września, kiedy to marszałek podjął ostatecznie decyzję przekroczenia granicy rumuńsko-polskiej.

Jeśli chodzi o 17 września, to autor wydaje się tu głównie opierać na relacji płk. Józefa Jaklicza pt. „17 września 1939 r. w sztabie Naczelnego Wodza” („Kartki z dziennika wojennego”, nr 12 „Zeszytów Historycznych”, Paryż 1967). Myślę tu o przedstawieniu okoliczności podjęcia przez Smigłego ostatecznej decyzji. Jakby nie brał zupełnie pod uwagę Leżeński publikacji Władysława Pobóg-Malinowskiego („Ostatnie chwile marszałka Smigłego”, „Kultura” nr 12, Paryż 1951; publikacji tej nie zauważyłem zresztą w „Wykazie źródeł” na końcu książki), w której znany historyk pisze:

„Konieczność szybkiego wyboru narzuciła, się, gdy marszałek — wracając z ostatniej odprawy u Prezydenta w Kutach — zatrzymał się w Kosowie. Tu dopiero, na kwatery premiera Stawoj-Składkowskiego, po długiej z nim rozmowie, około godz. 20, zapada ostateczna decyzja. Gen. Sławoj-Składkowski stwierdza [w trzech kolejnych listach pisanych do Pobóg-Malinowskiego latem i jesienią 1951 r. — przyp. M.D.]: »Nakłoniłem Marszałka na swej kwatery w Kosowie do najszybszego (podkr. — W.P.-M.)

Naczelnego Wodza; Jaklicz czy Składkowski? A może obydwaj mieli rację? Może odbyła się i jedna, i druga rozmowa, tylko w różnym czasie i w różnych miejscach?”

W każdym razie szkoda, że Cezary Leżeński w swej opowieści o Smigłym nie zamieścił tej jakże plastycznej, jakże „literacko” przystającej do charakteru jego książki sceny pomiędzy Premierem i Wodzem Naczelnym.

Chciałbym jeszcze przytoczyć zamieszczone w „Posłowie” zdanie Jana Lechonia:

„Historia powrotu i śmierci Smigłego jest to jedna z najbardziej przejmujących rzeczy, jakie zdarzyły się w tej wojnie, będącej przecież największą żywiołową katastrofą nowoczesności. Ale nie śmierć nawet, nie męczeństwo śmierci decyduje o tym, czy jakies zdarzenie jest dramatem — tylko dusza człowieka, który to przetrwał. Znamy z wierszy w „Kulturze” duszę nieszczęsnego Smigłego i dlatego ten dramat tak mną wstrząsa. [...] Niektóre (z wierszy Smigłego) są prawdziwą poezją, wszystkie prawie dokumentem wielkiego dramatu, który powinien zostać w historii oczyszczony z mętnych oszczerstw i uszanowany jako wielki dramat. Nie chodzi tu o Rydza, ale o tę piękną historię”.

PS. Po wojmie wiersze Edwarda Rydza-Smigłego, pisane w okresie internowania w Rumunii i podczas pobytu na Węgrzech, zostały po raz pierwszy opublikowane w paryskiej „Kulturze” w 1949 r. W 1. i 2. numerze „Relacji” pisałem o okoliczności ich powstania, prezentując kilka z nich na łamach naszego tygodnika.

M.D.

TRZYNASTY PARTNER

Z Kassel (RFN) powróciła delegacja Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Celem wizyty rektora prof. dr. hab. Zdzisława Cackowskiego, prorektora prof. dr. hab. Zygmunta Mańkowskiego oraz dziekana Wydz. Ekonomicznego prof. dr. hab. Ryszarda Orłowskiego było podpisanie umowy o współpracy UMCS z Uniwersytetem Krajowym Hesji w Kassel.

Umowa została zawarta na trzy lata (1989—1991) i obejmuje współpracę naukową w zakresie

badania naukowych i dydaktycznych z dyscyplin przyrodniczych, społecznych i humanistycznych. Jej postanowienia mówią o wymianie informacji naukowej, organizowaniu wspólnych sesji i konferencji naukowych, prowadzeniu wspólnych prac badawczych, wymianie publikacji i wydawnictw naukowych. W tekście umowy znalazły się także punkty mówiące o wymianie profesorów i wykładowców (celem przeprowadzenia wykładów

i konwersatoriów), wymianie grup i zespołów studenckich.

Warto dodać, iż w bieżącym roku akademickim podobne umowy o współpracy zawarte zostały z uczelniami wyższymi z Kansas City, Wilna i Moskwy, a w przygotowaniu znajdują się porozumienia z Uniwersytetem z Berlina Zach., Linzu (Austria), Kazania, Sofii, Kinszasy i Pietrozawodska. Tak więc liczba współpracujących z uniwersytetem szkół wyższych za granicą wynosi 13 (8 z krajów kapitalistycznych i 5 z socjalistycznych).

(w)

DOKŁADNIE tydzień temu powiadomiono naszą redakcję, że pracownikom Bazy Sprzętowo-Transportowej w Opolu przy ul. Przemysłowej grozi utrata pracy. Decyzją dyrektora Okręgowego Zakładu Transportu i Maszyn Drogowych z Lublina (opolska baza jest filią lubelskiego zakładu) — baza ma zostać zlikwidowana, ponieważ przynosi straty. Decyzja ta jest nieodwołalna i 28 października wszyscy pracownicy otrzymają wypowiedzenia na piśmie. W piątek, 6 października o godzinie 7 przyjechał do Opolu na spotkanie z tutejszą załogą dyrektor naczelny OZTMD z Lublina, mgr inż. Jacek Michałowski. Pracownicy zbrali się w komplecie: siedemnastu kierowników, sześciu mechaników, trzy pracownicy biurowe i kierownik bazy, pan Jan Nowak, razem dwadzieścia siedem osób zagrożonych bezrobociem.

Pojechałem na to zebranie, ponieważ było ono skutkiem ważnych zmian ekonomicznych i politycznych, które dokorują się w kraju. Bezrobocie uznano za dopuszczalne, a zapewnienie pracy (a więc i utrzymanie) przestaje być sprawą zaprzatającą uwagę władzy politycznej. Nazwijmy to społecznym aspektem kryzysu gospodarczego. Drugi aspekt mógłby nazywać się strukturalnym, a polega on na przyjęciu za oczywiste, iż formy nierentowne, przynoszące straty, ulegają likwidacji. Dalekosiędnym celem tej operacji byłaby zmiana struktury krajowej gospodarki: pozostaną przy życiu tylko przedsiębiorstwa (przemysłowe i usługowe) znajdujące nabywców na swoją pracę. Jednym egzaminatorem jest zatem rynek i on decyduje, jaka firma ma rację bytu.

Model to klarowny, przejrzysty i łatwy do przetestowania. W przypadku firmy świadczącej usługi transportowe, nawet przy dzisiejszym balaganie cenowym, da się szybko ustalić, czy jest to firma rentowna.

Taki był też tok rozumowania dyrektora Michałowskiego, który przekonywał kierowców, że pracowali nieopłacalnie od ostatnich czterech — pięciu lat, zaś decyzja likwidacji opolskiego przedsiębiorstwa rozważana była już od lat dwóch. Do tej pory straty za rok 1989 wyrosły wprawdzie tylko dwa miliony, ale wyliczono w Lublinie, że rok obecny zamknie się deficytem przeszło pięćdziesięciu milionów złotych. A takich strat przedsiębiorstwo nie udźwignie na dłuższą metę.

Co spowodowało te straty? W odniesieniu do lat poprzednich sprawa pozostała niejasna i podczas trzygodzinnej dyskusji nikt nie próbował sięgać wstecz. Natomiast straty tegoroczne dyrektor Rejonu Eksploatacji Dróg w Kraśniku, inż. Julian Kapica, wyjaśnił ogólną sytuację kraju. Bazy tego rodzaju utrzymywały się przede wszystkim z transportu materiałów potrzebnych przy budowie i remontach dróg publicznych. Drogownictwo utrzymywane jest przez budżet państwa, a ten dał w tym roku dwa razy mniej pieniędzy na drogi niż w roku ubiegłym, toteż zamiast osmiuset kilometrów — wyremontuje się do końca grudnia za ledwie czterysta kilometrów dróg. W Opolu, konkludował dyrektor Michałowski, nie ma tyle pracy dla transportu, aby baza zarobiła na swoje utrzymanie. Zostanie zatem nieodwołalnie zlikwidowana jako osobne przedsiębiorstwo. Kilku kierowców będzie miało pracę, ale zostaną podporządkowani bazie w Kraśniku. Inni zostaną zwolnieni.

Propozycje są następujące: praca w Lublinie; urlop bezpłatny na oczekiwanie lepszych czasów; wzięcie ciężarów w ajenję.

Kontrargumenty załogi były następujące:

Dyrekcja była i jest nieuczciwa wobec pracowników, bo nie należało ukrywać zamiaru likwidacji bazy i powiedzieć o tym dwa lata temu. Byłoby wystarczająco dużo czasu, aby każdy znalazł sobie pracę. Po drugie: być może baza jest obecnie nierentowna, ale wynika to z polityki dyrekcji, która rozdziela pracę. Dlaczego bowiem na terenie działania bazy pracują samochody z baz w Lublinie i Kraśniku? Po trzecie — baza od lat otrzymywała najgorsze samochody, stąd dużo przestojów i aż sześć etatów dla mechaników. Po czwarte: dyrakcja nie zrobiła nic, aby poprawić opłacalność, a ponoć baza była nieopłacalna już pięć lat temu. Po piąte: nieprawdą jest, iż w Opolu brakuje pracy, a przeciwnie — za klientami drzwi się nie zamykają.

Na koniec argument, którego nie sposób zweryfikować. Opolska załoga uważa, że likwidacja bazy jest odwieczną lubelskiej dyrekcji za to, że w przedsiębiorstwie istnieje siła „Solidarność”. Kierowcy słyszeli, jak ktoś z kierownictwa powiedział: „Chcieliście Solidarności, to niech was teraz broni”.

Przysłuchiwałem się temu sporowi uważnie i wszystkie fakty notowałem skrupulatnie. Raz jeszcze czytam notatki, aby sprawdzić, czy znajduję w nich potwierdzenie tego, co pamiętam. Tak! Obaj dyrektorzy w ciągu całych trzech godzin nie ustosunkowali się merytorycznie do żadnego z tych argumentów, które wyliczyłem powyżej. Tych najważniejszych, poddających w wątpliwość cały wywód dyrektora Michałowskiego na temat nieopłacalności utrzymania bazy w Opolu.

Kierowcy wskazywali ponadto na fatalne kierowanie transportem, błędy przy zakupie samochodów, bezsensowny pomysł wymiany silników benzynowych na diesle, co powodowało kilkakrotnie szybsze zużycie samochodów. Wreszcie faworyzowanie jednych baz kosztem innych, stąd właśnie fakt, że w rejonie opolskim zatrudniono transport z Kraśnika i Lublina. Toteż stanowisko kierowców było takie: niedopuszczalnym jest, aby za błędy dyrekcji, zaniedbania i brak szybkich reakcji odpowiadała załoga. Należy jeszcze

LIKWIDACJA W OPOLU

Andrzej W. Pawluczuk

raz wszystko policzyć i ponownie rozważyć, czy baza musi być likwidowana. Na co dyrektor Michałowski odpowiedział: „Ten temat mnie już mierzsi. Decyzja likwidacji podpisałem i nie ma od niej odwołania”.

Czy bazę likwiduje się zatem dlatego, że jest nierentowna, czy dlatego, że decyzja została podpisana? To jest podstawowe pytanie, jakie nasuwa się po tej parugodzinnej wymianie zdań, po trzygodzinnym przemawianiu dziada (kierowców) do obrazu (dyrektorów). Ale nie błyskotliwa pointa jest celem mojego pisania. Dziennikarz nie jest od dawania rad; on ma tylko rzetelnie rejestrować to, co istnieje. Jednak wyjątkowość sytuacji w kraju i wyjątkowość sytuacji w bazie transportowej w Opolu zmusza mnie do napisania, jak widzę i jak czuję tę sprawę.

Po pierwsze — odniosłem wrażenie, że bazę w Opolu likwiduje się z przyczyn pozaekonomicznych. Jeżeli bowiem powodem byłaby nierentowność, dyrakcja chętnie nadstawiałaby ucha ku wszelkim propozycjom polepszenia rentowności. Ten temat jednak „mierzi” dyrektora. Nic dodać, nic ująć. Ale przyjmijmy, że argumenty dyrektorów były prawdziwe i precyzyjne. Pytanie wówczas jest takie: dlaczego nie zrobiono niczego dla poprawienia opłacalności? Po drugie — dlaczego nie powiedziano ludziom dwa lata temu, aby rozglądali się za inną robotą? A konkluzja z tego jest tylko taka: za wiszące dzisiaj nad kierowcami bezrobocie odpowiada wyłącznie dyrakcja. Jeżeli tak, to jest zwyczajnie niehumanitarne wyrzucanie ludzi na bruk.

Ktoś może na to odpowiedzieć, że przede wszystkim niehumanitarne są prawa rynku. Rozważmy i ten punkt widzenia. Wydaje mi się na przykład celowe, aby związki zawodowe sformowały kompetentny zespół ekspertów do ponownego przebadania sprawy. Powiedzmy inaczej: nie związki, ale NSZZ „Solidarność”. To bowiem, co

mnie najbardziej zdumiało podczas tego zebrania, to była postawa pana Ryszarda Partnika, szefa zakładowej organizacji Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Transportu, zrzeszonego w OPZZ. Po pierwsze, co natychmiast jest czytelnym sygnałem, zaszła on przy biurku wraz z lubelskim kierownictwem Okręgowego Zakładu Transportu i Maszyn Drogowych. Po drugie — przez całe trzy godziny bronił stanowiska dyrekcji i uzasadniał konieczność zlikwidowania bazy.

A zatem niech Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” powoła zespół fachowców, którzy zbadają problem w aspekcie ekonomicznym oraz organizacyjnym i zaproponują alternatywne rozwiązanie. Na razie odniosłem wrażenie, że i ten związek zawodowy zlekceważył sprawę obrony ludzi przed lokautem. Z tego, co mówił na zebraniu przedstawiciel „Solidarności” z Lublina, pan Mieczysław Kłoz, można było wnioskować, iż Komisja Zakładowa nie przyłożyła się, aby zbadać rzecz gruntownie i mieć w tej mierze sensowne kontrargumenty (poparte liczbami) lub uzasadniony gospodarczo projekt reorganizacji opolskiej bazy.

Tu uwaga praktyczna. Zaprawieni w gładkiej retoryce i okrągłych słowach, przedstawiciele dyrekcji nie mieli większych kłopotów, by ukierunkować rozmowę tak, jak było im wygodniej, a kiedy zmierzala ona w złym dla nich kierunku, umieli szybko ją przestawić. Na przykład dyrektor RED z Kraśnika kilka razy ganił kierowców: „Rozma-

wiacie nie na temat” i za każdym razem kierowcy usiłowali przez kilkanaście minut przekonać go, że jednak trzymają się tematu. A to rozmywało sprawę, spychało ją na boczne tory.

Takie „wymanewrowanie” załogi będzie łatwe dopóty, dopóki „Solidarność” nie przyciągnie do siebie w większej mierze pracowników inżynieryjno-administracyjnych. Jest to w wielu zakładach związek silny, ale — niestety — bywa to często siła pięści bez głowy. Teraz natomiast, kiedy strajkiem, czyli samą siłą, niczego się już w kraju nie załatwi, mądra głowa jest w każdej komisji zakładowej niezbędna. Toteż budzi moje zdumienie, że przewodniczący tutejszej KZ, pan Sławomir Tułak, wolał pojechać na jakieś zebranie do Łodzi, zamiast być z załogą. Nie ma bowiem dla związku zawodowego (każdego!) sprawy ważniejszej jak to, co dzieje się w macierzystym zakładzie. A jeżeli tak jak powyżej sprawuje się i „Solidarność”, i związek z OPZZ, to nie dziwnego, że dyrakcja idzie po najmniejszej linii oporu i „wymanewrowanie” załogi przychodzi jej z łatwością.

Na koniec zaś powiem coś prywatnie, bardzo prywatnie, tylko od siebie i nie tając emocji, bo zawsze staję po stronie ludzi, którym dzieje się krzywda. Otóż uważam, że gdyby dyrektor Jacek Michałowski był człowiekiem honoru, nie pozwoliłby sobie na to, aby argumenty i zanęty kierowców pozostawił bez rzeczowej (naprawdę!) odpowiedzi. Bo albo jest to rzeczywiście sprawa wyłącznie ekonomiczna, a więc podlega jedynie obiektywnym prawom rynku, a wówczas każdy argument można bez strachu położyć na wadze arytmetyki. Jeżeli zaś postępuje się inaczej, można mieć uzasadnione podejrzenie, że dzisiejsza konieczność likwidacji opolskiej bazy jest wynikiem dawniejszych zaniedbań, niekompetencji, złego kierowania. Jeżeli zaś tak, to dyrektor, będący człowiekiem honoru, podaje się wówczas do dyskusji.

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

Teatr im. J. Osterwy: 12.10, 14—15.10 godz. 19 (Scena Lubelskiego Domu Kultury, ul. Pstrowskiego 12): „Markiza de Sade” Yukio Mishima; reż. Konrad Lesisz. Scena Reduta: 12.10 godz. 19 — „Worek Judaszów” — monodram w wykonaniu Joanny Morawskiej; 17—18.10 godz. 16 — „Poobiednie Igraszki” Romy Mahieu.

Teatr Studyjny: 12—15.10, 17—18.10 godz. 19 (sala BWA ul. Narutowicza 4): „Dekameron” G. Boccaccio; reż. Mirosław Prochazka, scen. Vladimir Cap; chor. Frank Townen. Informacje o biletach tel. 71-19-72, 55-37-63.

Teatr Lalki i Aktora: 12—13.10 (Kraśnik, Puławy), 14—15.10 godz. 12; 17—18.10 godz. 10, 12; „Ural Batory” baśń baszkirska; reż. Włodzimierz Felenczak.

Teatr Muzyczny: 12.10 godz. 19 (Dom Kultury Kolejarza, ul. Kunickiego 35): „Baron cygański” J. Straussa; 14.10 godz. 16, 19.15 w Chełmie; 15.10 godz. 16, 19 w Zamościu; 17—18.10 godz. 19 w Lublinie: „Bal w Savoyu” Paula Abrahama; reż. Ryszard Zarewicz.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia — 13.10 godz. 19; 14.10 godz. 18: wieczór autorski Henryka Czyża pt. „Nie taki diabeł straszny”. Wystąpią: Orkiestra PFL i Chór Mieszany Państwowej Szkoły Muzycznej im. Karola Lipińskiego pod dyrykcją Henryka Czyża, Jerzy Kneting (tenor), Jan Zakrzewski (fortepian). W programie utwory Henryka Czyża: Etiuda na orkiestrę, Canzona di barocco, Concertino na fortepian i orkiestrę, Wariacje symfoniczne oraz Kantata „Wesele” na tenor, chór i orkiestrę do słów B. Jasińskiego. 15.10 godz. 18 — występ Nuernberger Saxophon Trio w składzie: Guenter Priesner — saksofon sopranowy i altowy, Andreas Bader — saksofon altowy i tenorowy, Peter J. Athmann — saksofon barytonowy. Koncert prowadzi Teresa Ksieska. W programie: utwory H. L. Schillinga H. Beckera, W. S. Hartley'a, O. Gibbonsa, D. Piona, N. Priesnera, J. S. Bacha. 17.10 godz. 19 — recital fortepianowy Reginy Smendzińskiej, poświęcony 140 rocznicy śmierci Fryderyka Chopina. W programie koncertu utwory kompozytora.

Aula KUL (Aleje Raclawickie 14): 12.10 godz. 19 — recital organowy Waltera Oppa z RFN. W programie: Andante i fuga in a KV 402, Allegro d-moll W. A. Mozarta, Andante z wariacjami D-dur, Allegro d-moll F. Mendelssohna, Toccata i fuga f-moll J. N. Davida, Hommage a Marcel Dupre Z. Gardonyia.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum na Zamku — wystawa pt. „Rozsądkie ikony końca XVIII — początek XX w.”; wystawa poświęcona 50 rocznicy Września pt. „Broń i barwa Wojska Polskiego w roku 1939”.

KUL (Aleje Raclawickie 14): 13.10 godz. 12 — otwarcie wystawy obrazów francuskiego malarza ekspresjonisty, Huberta Damona.

W MIĘDZYRZECU PODLASKIM

Galeria ES — wystawa malarstwa Andrzeja Markiewicza.

W ZAMOŚCIU

BWA — wystawa malarstwa Jerzego Dudy Gracza.

Nowa Siedziba Muzeum Okręgowego (Kamienice Ormiańskie 26/28) — wystawa pt. „Ocalone dla przyszłości” (zbiory poddane konserwacji w latach 1978—1988).

OGŁOSZENIA

SPRZEDAŻ

VOLKSWAGEN K-70, tel. 240-78. 23049/G

ROŻNE

KOŻUCHY, odzież skórzana — renowacja. Lublin, Miła 10. 23350/G-10

NIEMIECKI — korepetycje, tel. 229-92. 23548/G

PIANINA — naprawa, strojenie. Lublin, tel. 77-35-44. 23016/G

TV

CZWARTEK 12 PAŹDZIERNIKA PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Głina z wyższych sfer” — odc. 2 pt. „Podstęp” — serial krym. prod. ang.
10.15 Domator
10.05 Program dnia i Telegazeta
16.10 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Świat, w którym żyjemy”
17.00 Obraz prawidłowy — wojskowy program dok.
17.15 Teleexpress
17.30 Zolnierska przygoda — wojskowy program publ.
17.55 Sonda: Kapeć
18.25 Program publicystyczny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.00 Studio sport
20.15 „Głina z wyższych sfer” — odc. 2 pt. „Podstęp” — serial krym. prod. ang.
21.35 Pegaz
22.10 Studio sport
22.30 Dt — echa dnia
22.45 Jutro w programie

PROGRAM II

17.35 Program dnia
17.40 Skarby kultury polskiej: Panorama Racławicka (cz. II) — film dok. Stanisława Kubiaka
18.00 Program lokalny
18.30 Chiny przed 4 czerwca — reportaż Ryszarda Bójki
19.00 Magazyn „102”
19.30 Zielone kino. Przyroda polska: „Łosie” — film przyr. Joanny Wierzbickiej
20.00 Studio sport: Wielki tenis
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino Studyjne „Dwójki”: „Erendira” — film fab. prod. meksykańskiej
23.25—23.30 Komentarz dnia

PIĄTEK 13 PAŹDZIERNIKA PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Dwadzieścia cztery karaty” — film fab. prod. rumuńskiej
11.00 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
17.55 Reportaż z „Polagry”
18.25 Stop — magazyn konsumentów
18.45 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc: Kret i lizak
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Zwierciadło czasu: „Psie serce” — film fab. prod. ZSRR
22.15 Siedem dni — kraj
22.45 Otwarte studio
23.45 Dt — echa dnia
24.00 Otwarte studio (cd.)

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Program public.
18.50 Program rozrywkowy
20.00 Magazyn „Piątek”
21.30 Panorama dnia
21.45 „Kiedy Litwa budzi się” — reportaż Krzysztofa Komara
22.15 „Udręka Yakuzy” — film fab. prod. japoń.
23.55—24.00 Komentarz dnia

SOBOTA 14 PAŹDZIERNIKA PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży oraz „Postrach miasta” (3) — serial prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Wojskowy magazyn publ.
11.10 Wyprawa pod podszewkę Alp (1) — „Amerykański komandos pod Częstochową” — serial dok.
11.45 Magazyn „Powiększenie”
12.05 Szkoła mistrzów — Krzysztof Zanussi
12.25 Wędrowki dalekie i bliskie: Malta — wyspa powracającego czasu
13.05 Telewizyjny Teatr Prozy: Melchior Wańkowicz — „Monte Cassino”. Adapt. i reż. Jan Maciejowski.
14.45 Program dnia
14.50 Do trzech razy sztuka — prowadzi Andrzej Zaorski. Udział biora: Marek Wilhelm, Jerzy Iwaszkiewicz, Jacek Olszewski i Janusz Kosiński.
15.05 Flesz
15.25 Telewizyjny informator wydawniczy
15.35 Komedie, komedie, komedie: „Szczęściarz Antoni”
17.15 Teleexpress
17.30 „Defilada” — film dok. Andrzeja Fidyka
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Przygody Misia Colargola
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Zwierzęta naszych marzeń
19.30 Dt
20.05 Sobotni seans filmowy: „Purpura i czerń” — film fab. prod. angielsko-włoskiej. Reż. Jerry London. Wyst.: Gregory Peck, Christopher Plummer, John Gielgud
22.25 Telewizyjny przegląd sportowy
22.45 Tydzień w polityce
22.55 Spiewa Saarah W.
23.20 Telegazeta
23.25—0.55 Klub filmowy: „Tom Horn” — western prod. USA. Reż. William Ward. Wyk.: Steve McQueen, Linda Evans, Richard Farnsworth, Billy Green Bush, Slim Pickens i inni.

PROGRAM II

14.10 5—10—15 — program dla dzieci i młodzieży
15.35 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
16.00 Małe kino: „Odpuszczenie nam nasze winy”
16.25 Telewizyjny koncert życzeń
16.55 Powitanie
17.00 Za chwilę dalszy ciąg programu... — program rozrywkowy Wojciecha Mann i Krzysztofa Materny
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Alfa i omega: Kosmiczna Odyseja
20.00 Fantazja polska — program z okazji jubileuszu 45-lecia Orkiestry Koncertowej Wojska Polskiego
21.00 Muzyka i polityka: W Warszawie i w polu
21.30 Panorama dnia
21.45 Polagra '89
22.25 „Chateauballon” (23) — serial prod. franc.
23.20—23.25 Komentarz dnia

NIEDZIELA 15 PAŹDZIERNIKA PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Teleranek oraz „Janka” — odc. 4 pt. „Trick z procą” — serial prod. pol.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 Zwierzęta Europy (1) — serial przyr. prod. franc.
11.05 Kraj za miastem
11.45 Muzyczna telewizja — wideotop
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 Teatr dla dzieci: Tadeusz Kijonka, Katarzyna Gaertner — „Do góry nogami” (cz. 1).
13.30 Sportowa niedziela
15.10 Antena
15.35 „Panna dziedziczka” (23) — se-

rial prod. brazył.
17.15 Teleexpress
17.30 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Alfred de Musset — „Drzwi muszą być albo otwarte, albo zamknięte”. Reż. Michał Kwieciński. Wyk. Ewa Wiśniewska, Jerzy Kamas
18.10 Obywatel G.C. — Live
19.00 Wieczorynka: Siostrzency Karczora Donalda
19.30 Lt
20.05 „Pod zegarem w Biltmore” — film fab. prod. ang. Reż. Neal Miller.
21.35 Siedem dni: Świat
22.05 Sportowa niedziela
22.25 Premiery po latach: „Prosta pozioma” — film dok. Krystiana Przysockiego
23.05 Telegazeta
23.10 Jutro w programie

PROGRAM II

8.50 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
9.25 Film dla niesłyszących: „Pod zegarem w Biltmore” — film fab. prod. ang.
10.50 Satysfakcje — wojskowy program publ.
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 100 pytań do...
13.10 Aktualności kulturalne: „Madame Butterfly” w Łodzi — reportaż
13.30 Kino familijne: „Niebezpieczna zatoka” — serial prod. kanad.
14.25 „Polacy” — film dok.
15.05 Podróże w czasie i przestrzeni: „Badacze nieznanego kultury” — odc. 6 (ostatni) — „Edward Evans Pritchard” — serial dok. prod. ang.
15.55 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.10 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
17.00 Studio sport
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 KOR — 8 lat później: spotkanie z Janem Józefem Lipskim
19.30 Galeria 37 milionów: Jurij Czarysznikow
20.00 Studio sport: Piłka w grze
20.50 Ballada o drodze — Andrzej Brycht
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć” (8) — serial prod. USA
23.05 Jacek Stwora: „Co jest za tym murem?”
23.25—23.30 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK 16 PAŹDZIERNIKA PROGRAM I

16.20 Program dnia. Telegazeta
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
18.00 Wędrowki dalekie i bliskie: „Istanbul” — film dok. prod. UNESCO
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Ja ci jeszcze pokażę
19.10 W sejmie i senacie
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji na Świecie: Malcolm McKay „Przesłuchanie Johna”. Reż. Nick Renton. Wyk.: Denis Quilley, Bill Paterson, Michael Fitzgerald
22.15 Old Jazz Meeting — Złota Tarka '89 — Big Band „Stodoła”
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język francuski (1)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (1)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Czarno na białym — przegląd kronik filmowych
19.10 „Alchemik” — reportaż z premiery filmu w reż. Jacka Koprowicza
19.30 Życie muzyczne — Festiwal Pianistyki Polskiej — Słupsk '89
20.00 Auto-Moto-Fan-Klub
20.30 Osądźmy sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie

22.45 Jacek Stwora: „Co jest za tym murem?”

WTOREK 17 PAŹDZIERNIKA PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Cyklon Tracy” (3-ostatni) — film fab. prod. australijskiej
10.55 Domator
16.20 Program dnia. Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” — serial animowany prod. austriackiej
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
18.15 Mozaika narodowości: Banie Mazurskie
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Wesołe przygody Pika, Kwika i wieloryba Grubaska
19.10 Dlaczego nie ma chleba w Braniewie? — program publ.
19.30 Dt
20.05 „Cyklon Tracy” (3-ostatni) — film fab. prod. australijskiej
21.35 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „S”
22.40 Studio Solidarności
23.25 Dt — echa dnia
23.45 Język rosyjski (1)

PROGRAM II

16.55 Język angielski
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 „Zmęczone miasta” — film dok. prod. ZSRR
19.30 Blisko nieba — magazyn alpinistyczny
20.00 W 140 rocznicę śmierci Fryderyka Chopina — transmisja z Kościoła Świętego Krzyża: „Requiem” W. A. Mozarta
21.10 Zatrzymane w kadrze: Po bitwie
21.30 Panorama dnia
21.45 „Przypadek” — film fab. prod. pol. Reż. Krzysztof Kieślowski. Wyk.: Bogusław Linda, Tadeusz Łomnicki, Zbigniew Zapasiewicz, Bogusław Pawelec

ŚRODA 18 PAŹDZIERNIKA PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Dorota” — film fab. TVP. Reż. Gerard Zalewski. Wyk.: Anna Chodakowska, Kazimierz Kaczor
10.15 Domator
16.20 Program dnia. Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kameleon
16.50 Dla dzieci: „Wyprawy prof. Ciekawskiego”
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX w.
18.00 Dawniej niż wczoraj
18.30 Życie — magazyn ekologiczny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Porwanie Baltazara Gąbki
19.10 Program public.
19.30 Dt
20.05 Studio sport: II runda Europejskich Pucharów w piłce nożnej
22.05 „Kuchotka” — widowisko muzyczne Barbary Abrens-Młynarskiej.
22.45 Wódka, pozwól żyć...
23.15 Dt — echa dnia
23.35 Język angielski

PROGRAM II

16.55 Język francuski
17.25 Program dnia
17.30 „Z życia clowna” — reportaż
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Moje życie zostało we Lwowie” — film dok. Aliny Czerniakowskiej
19.00 „Hotel Zacisze” (2) — serial prod. ang.
19.30 Zwierzęta wokół nas
20.15 Rewelacja miesiąca: „Andrea Chenier” — akt 1 i 2 Umberto Giordano w La Scali — komentuje Bogusław Kaczyński
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie” (42)
22.15 Telewizja nocą

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawłuszuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korespondent: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójciszka.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830. Zam. 1441. 25.09.89. B-5.

Polskie gospodarstwo

ZDAJĘ sobie sprawę, że ocenianie rządu, który istnieje zaledwie miesiąc, byłoby absurdem. A jednak ostatnie poczynania gabinetu dotyczące gospodarki i rynku (albo brak takich poczynañ) skłaniają mnie do zastanowienia, jaka filozofia ekonomii wzięła obecnie górę.

Z powodu ogromnej dziury w budżycie państwa, podnosi się ceny tam, gdzie można to zrobić całkowicie bezkarnie, gdyż wiadomo, że o cenę wódki czy wysokość cła na samochody nikt nie będzie się głośno upominał. Osobiście uważam, że można się spodziewać wkrótce znacznego podrożenia innych artykułów, które nie są uważane za niezbędne do życia, jak samochody, sprzęt turystyczny, telewizory, radia (które i tak od wakacji podróżowały trzykrotnie!), lodówki, pralki i tak dalej. Wynika to bowiem z drugiego założenia, które przyświeca obecnej polityce rynkowej, a mianowicie odciążenia się od administracyjnego kontrolowania cen.

W ten sposób rząd chciałby dać do zrozumienia, że stoi na pozycji konserwatywnego liberalizmu, w myśl którego władza jest tym lepsza, im mniej rządzi. Dlaczego rząd odciął się od podwyżki cen paliw, co jest o tyle zaskakujące, że, po pierwsze — CPN jest firmą państwową, a jej dyrektor powoływany jest przez ministra. Po drugie — jak stwierdził minister Jacek Kuroń — rząd został powiadomiony o podwyżce z kilkudniowym wyprzedzeniem, a zatem brak sprzeciwu oznaczał, że gabinet zaaprobował tę decyzję, toteż ponosi za nią pełną odpowiedzialność.

Pełną? Tak. O ile bowiem nie można wymagać od dyrektora CPN, aby myślał kategoriami interesu ogólnospołecznego i ogólnoeconomicznego w skali całej gospodarki, to myślenie takie jest podstawowym obowiązkiem rządu. Wobec tego, iż struktura własnościowa gospodarki jest taka, a nie inna, to znaczy: państwo jest właścicielem a rząd administratorem, społeczeństwo wymaga od tego administratora, aby rządził jak najlepiej, czyli tak, aby pożytek gospodarczy był z tych rządów możliwie największy.

W przypadku gospodarki chorej, gospodarki permanentnego niedoboru, gospodarki zarządzanej w dalszym ciągu przez nomenklaturę, nie można z dnia na dzień ustanawiać na rynku reguły równowagi popytu i podaży poprzez stosowanie odpowiednio wysokich cen. Na pewno nie można tak robić w stosunku do artykułów podstawowych, a właśnie paliwa silnikowe są artykułem niezbędnym dla paru milionów producentów żywności. Przecież mimo podwyżki, w dalszym ciągu przed stacjami CPN tworzą się

kilometrowe kolejki, w których rolnik traci swój cenny czas.

Wynika z tego — zgodnie z teorią równoważenia popytu przez cenę — że dzisiejsza cena paliw jest jeszcze zbyt niska. Dobrze, podniesiemy ją, aż kolejki znikną, a co drugi samochód będzie stał nieczynny. A co będzie na wsi? Na wsi chłop będzie musiał wliczyć cenę ropy w koszty produkcji i za buraki cukrowe, za mięso, za zboże zażąda odpowiednio więcej. Ile będzie wówczas kosztował cukier? Zapewne 3 tysiące za kilogram. Rąbanka? — dojdzie pewnie do pięciu. Jakiej płacy zażąda wówczas robotnik? Pewnie około miliona, ale benzyna stanie się wówczas znowu tania i pod stacjami CPN ustawią się kilometrowe kolejki. I tak — da capo al fine.

CO ROBI RZĄD?

Andrzej W. Pawluczuk

W „Gazecie Wyborczej” z 26 września minister Kuroń przyznaje, iż ten mechanizm jest mu znany. Powiada on tak: „Wpłyne większy podatek obrotowy. Ale więcej też wyplynie z tytułu wzrostu płac dla sfery budżetowej i innych wydatków związanych z ogólnym wzrostem cen, który nastąpił w wyniku podwyższenia cen benzyny. Ostateczny rezultat jest więc niejednoznaczny”.

Niejednoznaczny? Wprost przeciwnie: rezultat jest jak najbardziej jednoznaczny i bardzo negatywny. W kilka dni po podwyżce spotkałem w siedzibie lubelskiego Komitetu Obywatelskiego posła Ziemi Lubartowskiej, pana Janusza Rożka, znanego działacza chłopskiego. Powiedział on mi tak: „Podwyżka cen paliwa zdecydowanie bije w chłopa”. Ta podwyżka bardzo wiesz wzburzyła, daje się słyszeć nawet takie głosy: „Przez 45 lat bili nas komuniści, a teraz ci robią to samo”.

Być może rolnicy nie mają racji, albowiem — załóżmy — podwyżka benzyny była konieczna i nie można było jej odwiekać. Ale jeżeli konieczna nie była, to więcej przyniosła strat społecznych, politycznych i gospodarczych, niż pożytków. Dlatego uważam, że rząd powinien był tę podwyżkę zablokować i całą sprawę dogłębnie przeanalizować. Oczywiście byłoby to sprzeczne z deklaracją premiera, że rząd nie zamierza ingerować w sprawy cen. Tak, tylko że trzymanie się sztywno raz wytyczonego kursu jest niedopuszczalne w sytuacji, kiedy ten kurs prowadzi gospodarke ku coraz większej inflacji.

Jest oczywiste, że budżet państwa

wymaga ogromnego zastrzyku pieniędzy, chociażby na place. Z drugiej strony — każdy widzi gołym okiem, jak przez osatnie dwadzieścia lat rozrosła się biurokracja państwowa, spółdzielcza, partyjna, młodzieżowa, stowarzyszeniowa i gospodarcza. Ogromna armia ludzi w Polsce niczego nie produkuje, niczego nie usprawnia, a ustawia się w kolejce do wspólnego talerza.

Jednakże rząd boi się, na razie, uderzyć w interes tej nomenklatury średniego szczebla, która okopała się za swoimi biurkami i niczego pożytecznego nie robi. Więcej: rząd uspokaja tę armię darmozjadów zapewnieniem, iż nie będzie masowej redukcji urzędników.

Moim jednak zdaniem, obawy rządu są wyolbrzymione. Kiedy parę tygodni temu badałem sprawę samochodów dla nomenklatury, spotkałem się z po-

wszechną opinią urzędników szczebla wojewódzkiego, że rozporządzenie rządu M.F. Rakowskiego w tej kwestii zostanie natychmiast uchylone przez rząd Tadeusza Mazowieckiego, ponieważ oznacza ono de facto rozdawanie pokornym urzędnikom majątku ogólnonarodowego. I co? Ano nic.

Tymczasem nie ma żadnej sprzeczności w tym, że rząd, który jest rzecznikiem prawdziwej demokracji, rynku, reformy sądów i policji może być jednocześnie rządem twardym, stanowczym, wkraczającym śmiało i zdecydowanie tam, gdzie gwałcony jest interes krajowego gospodarstwa. Bo czasami, gdy trzeba (a kiedy gospodarka jest chora, to trzeba będzie często), brać ster do ręki, nie ma w tym nic wstydliviego. Ręczne sterowanie jest konieczne, aby zejść z mielizny, a dobry lekarz uważnie obserwuje chorego pacjenta i natychmiast koryguje metody leczenia, jeżeli zauważy, że podany uprzednio lek nie przynosi poprawy.

Kuracja wstrząsowa, którą zaordynowano gospodarcom w innych krajach, poskutkowała dlatego, że były to gospodarki prywatne, już wcześniej rynkowe, o zdrowszych proporcjach między przemysłem ciężkim, lekkim i rolnictwem. Pamiętajmy, że żaden kraj na świecie nie ma tak kuriozalnej gospodarki jak Polska, toteż Polska potrzebuje metod zupełnie wyjątkowych, pionierskich, nigdzie przedtem nie stosowanych. Trzeba te metody wymyślić, a dopóki nie zostaną wymyślone, trzeba uważnie pilnować, aby nasza gospodarka nie staczała się w dół.

Ad vocem

NOMENKLATURA

WOKOŁ nomenklatury ostatnio nieco głośniejsze, ale jest to zainteresowanie jakby aktorem schodzącym ze sceny. Optymiści wierzą, że pojęcie to okryje się wkrótce kurzem zapomnienia i tylko sumienni antykwaryści będą pamiętali, co ono znaczyło. Ale właśnie — co oznacza „nomenklatura”?

Encyklopedie milczą: „Słownik wyrazów obcych” PWN podaje, że jest to ogół nazw, terminów używanych w jakiejś dziedzinie nauki, sztuki, techniki itp. (mianownictwo). Dokładniejszy jest W. Kopaliński, który w swym „Słowniku wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych” wyjaśnia, że — obok mianownictwa — nomenklatura oznacza „zakres kompetencji instancji partyjnej w stosunku do stanowisk kierowniczych w instytucjach i urzędach”. Rozszerza to pojęcie A. W. Pawluczuk („Relacje” nr 34), pisząc o związanych z nomenklaturą przywilejach, które (przydziały, asygnaty, przeceny...) „socjalistyczny establishment uważał... za coś, co należy się za wierną służbę”.

Tu się odzywa dalekie wprawdzie skojarzenie, ale chyba dobrze tłumaczące pochodzenie nomenklatury. Otóż w starożytnym Rzymie występował często niewolnik o nazwie nomenclator, od łacińskiego nomen — imię oraz calare — wolać, wywoływać. Obowiązkiem takiego nomenclatora było podpowiadanie swemu panu imion osób, które znaczyły coś dla właściciela, a przede wszystkim mogły być dla niego użyteczne (np. przy najbliższych wyborach na urzędy). Podpowiadał niewolnik-nomenclator (zwykle szeptał do ucha w odpowiednim momencie) nie tylko imię, ale inne również dane osoby, dzięki czemu mógł zainteresowany pan należycie pozdrowić taką osobę czy nawiązać z nią stosowną rozmowę.

Czyż nie stąd wzięła się dzisiejsza nomenklatura — podpowiadanie właścicielom panom (zwykle też po cichu) przez odpowiednie osoby odpowiednich nazwisk innych osób, które mogą być użyteczne i będą dobrze służyły? Dziwne zaiste bywają losy starożytnych niewolników.

Arcus M.

TO TAKIE PROSTE

Henryk Pałak

OD jakiegoś czasu czytelnicy zasypują mnie pytaniami o mój prywatny program ratowania gospodarki kraju. Dowodzą z ironią, że łatwo wybrzydzają, gdy inni nadstawiają głowy za polską katastrofę.

Proszę bardzo. Mój program nie jest prywatny od dawna. Czekalem na propozycję premiera, że powierzy mi jakiś resort. Ale premier zrezygnował ze mnie. To ja rezygnuję z programu. Za darmo. W czynnie społecznym. A więc jedziemy:

■ Lichwiarzom zachodnim spłacać tylko gołe sumy bez procentów, a roszczenia radzieckie, co do rzekomych sześciu miliardów rubli długu, po prostu wyśmiać. Już ja wiem dlaczego.

■ Obronę kraju oprzeć wyłącznie na dwóch rodzajach broni: masowych, nowoczesnych, szybkostrzelnych karabinach (każdy dom forteca) oraz lekkich rakietach typu ziemia-helikopter. Produkcję czołgów i innych kosztownych zabawek dla generałów przestawić na produkcję ciągników, łopat, bron i piług.

■ Węgiel, siarkę i miedź elektrolityczną sprzedawać przyjacielom po tej samej cenie, co wrogom.

■ Zwolać międzynarodową konferencję specjalistów, celem ustalenia, co to jest rubel transferowy i kto go widział.

■ Od zaraz skończyć z masowym rozkradaniem majątku narodowego przez spółki dyrektorsko-nomenklaturowe.

■ W obligacjach sprzedawać społeczeństwu wszystkie większe fabryki, dzięki czemu dolar w ciągu tygodnia spadnie do 1000 złotych (i tego nie-wart).

■ Stocznice Gdańską zamienić na bazę dalekomorskich połowów (tani śledź, dorsz, białko dla tuczu trzody).

■ Jest pewna dyskretna fabryka na Śląsku (adres znany redakcji). Zamknąć. Załoga do przemysłu lekkiego, usług.

■ Masowe redukcje w innych zakładach. Umiarkowane, lecz stale bezrobocie. Kapitalizm niejedno ma imię.

■ Skończyć z masowym, półdarmowym budownictwem dla każdego, komu zamarzy się miasto. To wszystko pod hasłem: Zostań na wsi! Wróć do siebie! Weź się do roboty! W miastach wytyczyć tereny pod slumsy i dzielnice nędzy.

■ Dokonać bestialskiego przeglądu politycznych notabli, poutykanych w ostatnim dziesięcioleciu po ciepłych posadkach. Te 800 tysięcy aktualnej nomenklatury przesiać wedle specjalności nabytych przed awansem.

■ Redukcje w administracji. Aż do stanu, gdy pozostali urzędnicy będą mieli czas tylko na podniesienie nosa nad papierków, na przerwę śniadaniową i dwa wyjścia do toalety (ciężarne — trzy wyjścia).

■ Wzmocnić jakościowo i sprzętowo milicję kosztem tajnej policji politycznej, ZOMO, ORMO, wywiadu i kontrwywiadu, bo Niemców się nie boimy (jak zawsze), a Rosjanie i tak wiedzą — co i gdzie mamy. Zdecydowanie dementować wrogie pogłoski o istnieniu rzekomych specjalnych służb do skrytych zabójstw, pobic, dewastacji grobów i pomników radzieckich!

■ Rolnictwo: jak najwięcej zboża i mięsa — strategicznych produktów finalnych wsi. Skończyć z mrzonkami o możliwości utrzymania się z tradycyjnego gospodarzenia na trzech hektarach, z żądaniem rent lub emerytur za dwa tuczniki i jedną osraną krowę, hodowane latami. Gigantyczne monopole przetwórcze, pijawki spółdzielczego czy państwowego skupu rozpedzić, zlicytować. Godziwa infrastruktura socjalna na wsi (szkoły, lecznictwo, drogi, zaopatrzenie) — w zamian za zakaz przenoszenia się ze wsi do miasta do końca bieżącego wieku.

■ Dlaczego zapałka i tytoń mają być monopolem państwa? Wystarczy spirytusowy. Wiadomo, że brakiem pa-

pierosów można sterroryzować największy naród, natomiast gorzałkę wyprodukuje sobie każdy zlakniony majsterkowicz, jeżeli monopol go zawiedzie lub podyktuje bandyckie ceny.

■ Rozbić monopol propagandy. Prawo do kłamstwa muszą mieć wszystkie środki masowego przekazu. Ostra redukcja prasy, tytułów, nakładów. Wystarczy, że w każdym województwie pozostanie jakaś gazecina z prognozą pogody, programem telewizji i wstępniakiem z obrad Sejmu. Z periodyków krajowych pozostawić tylko trzy: „Politykę”, „Relacje”, „Solidarność” oraz dziennik obecnej opozycji — „Trybuna Ludu”.

■ Sprawa ostatnia: dziennikarze. Już Al Capone pouczał swoich gangsterów: „Nigdy nie zabijaj dziennikarza!” Wiedział, co mówi. Dziennikarz to awangarda sukcesu lub upadku. Poza tym zły, głodny, pomiatany dziennikarz to kiepski dobosz sprawy. On powinien mieć absolutną pewność, że każda zmiana ekipy, polityki czy nawet jego najbliższego przełożonego, to zagrożenie dla jego sytuacji, zarobków, statusu. Szczególna uwaga na felietonistów. To wyjątkowo niebezpieczni pisarze. Potrafią odwać i ośmieszyć każdą wielkość, obłudnie udając pochwały. Mądry szef toleruje felietonistę nawet wtedy, gdy sponsorzy naciskają na zwolnienie z pracy takiego in-sekta.

Tak oto przedstawia się schemat zgranej siły, zwanej rządem, partiami, demokracją, wolną prasą i znakomicie prosperującą gospodarką.